Nr 27 (1382). Warszawa, 6 Lipca 1907 r. Rok XXVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: **Wspólna Nr. 17. Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Od 8-go lipca redakcya i administracya „PRAWDY" przeniesione zostaną na ul. Wspólną pod Nr. 17, m. 2.

POLITYKA

Dziecinny pogrzeb.

W ostatnich tygodniach po pismach tutejszych i zagranicznych zaczęła biegać dla jednych radosna, dla drugich smutna wiadomość, że Demokracya Postępowa likwiduje się, że sama uznała swą niemożność długiego życia, że będzie połknięta przez jakiś nowy twór itd. I naturalnie, jak przystoi w kraju, w którym każda sprawa społeczna musi być zantropomorfizowana a każda polemika spaszkwilowana — wykopano dół, jeszcze raz omazano błotem redaktora *Nowej Gazety*, i w jego osobie pogrzebano stronnictwo. To ciągłe, aż do wstrętu, aż do niegodziwości posuwane napastowanie p. St. Kempnera stanowi charakterystyczny rys taktyki naszego hakatyzmu. Jest to niewątpliwie szczery i gorący wyznawca zasad programu postępowo-demokratycznego, jest to niestrudzony walką i niezniechęcony obelgami ich obrońca, ale ani nie uosabia całej partyi, ani nawet nie uczynił swego dziennika jej organem. Jeśli mimo to ściąga na siebie wymierzone ku niej pioruny, jeśli jej przeciwnicy i oszczercy na niego głównie rzucają pociski i wylewają kubły swych plugastw, to ma takie branie *partis pro toto* swoją szalbierską racyę.

Wszędzie, a u nas w najwyższym stopniu, najpewniej rani się nieprzyjaciół politycznych zapomocą strzał zaostrzonych jakimś jednym wyrazem, najbardziej dla tłumu zrozumiałym i najbardziej nienawistnym. Demokracyi Postępowej nie można było żadnem oskarżeniem zadenuncyować przed społeczeństwem: wystąpiła ona bowiem jako grupa rzetelnie demokratyczna, przejęta głęboką miłością dla swego narodu, doskonale oryentująca się w nowem położeniu politycznem, wskazująca najbezpieczniejsze drogi wyjścia, więc przezwano ją żydowską. Nic to nie znaczy, że liczy ona w swym zastępie daleko mniejszy procent żydów, niż jakakolwiek inna; nic to nie znaczy, że najenergiczniej zwalcza nacyonalizm żydowski; nic to nie znaczy, że z niej wyłoniły się dążenia i prace kulturalne, mające na celu ochronę i wzmocnienie polskości; nic to nie znaczy, że podnosi ona ze szczególną mocą potrzebę usamodzielnienia i uświadomienia ludu polskiego — zniesławiającą łatę do jej płaszcza przyszyto. A ponieważ jednym z wybitnych jej członków i bojowników jest żyd, więc naturalnie p. S. Kempner bywa ciągle wyprowadzany na widownię i kamienowany, jako jej całkowite wcielenie. Większego szalbierstwa i większej drwiny z nieświadomego tłumu nie popełniono chyba nigdy.

Otóż ta zredukowana Demokracya Postępowa według kumów i kum plotkujących i kłamiących zakończyła swój żywot—czyli, mówiąc językiem paszkwilantów warszawskich — „Bracia Kempner i Spółka zbankrutowali". Zaiste nie trzeba wcale zasięgać „wiarogodnych informacyj u źródła", dość mieć wszystkie klepki i zdrowy rozum w głowie, ażeby uznać, że to jest poprostu niemożliwem. Jeżeli jakaś partya lęże się w kilku umysłach jako środek zadowolenia ambicyi osobistych, to ona w nich tylko żyje i z nimi zamiera. Ale jeśli jest ona wytworem istotnych potrzeb ogółu, pojętych i odczutych przez pewne grono ludzi, to musi istnieć dopóty, dopóki istnieją te potrzeby. Czy więc zdołamy wyobrazić sobie, ażeby w społeczeństwie naszem zanikła dążność do pozyskania autonomii Królestwa Polskiego, zabezpieczonej konstytucyą państwa rosyjskiego, do wywoływania i podtrzymania procesów rozwojowych naszego narodu aż do zupełnej jego demokratyzacyi? Czy my zdołamy wyobrazić sobie, ażebyśmy zaprzestali domagać się przeprowadzenia w całym naszym ustroju wewnętrznym zasad samorządu i swobód obywatelskich, zabezpieczenia praw mniejszości, podniesienia dobrobytu i oświaty ludu wiejskiego, ochrony pracy ludu miejskiego od samowoli i wyzysku, zniesienia wszelkich patronatów i ograniczeń? Gdyby nawet podobało się jakiemuś komitetowi ogłosić rozwiązanie stronnictwa, opartego na tej podstawie, to taki nakaz nie unicestwiłby ludzi, wyznających owe zasady i mających owe dążności. Demokracya Postępowa, która dała swemu narodowi najwłaściwsze i powszechnie przyjęte hasło polityczne, która wskazała jego przedstawicielstwu w Dumie najrozumniejszą i skutkami potwierdzoną metodę postępowania, która wywołała w społeczeństwie natężony i płodny ruch kulturalny—miałaby „rozpłynąć się" w próżni? Jest to wprost dziecinne przypuszczenie i należałoby zupełnie zwątpić o inteligencyi jej przewodników, gdyby oni dopuścili do swych zamiarów nawet myśl podobną.

Z inicyatywy Demokracyi Postępowej

podjęto starania o legalizacyę Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, t. j. klubu, w którymby łączyć się mogły żywioły pokrewne, niezwiązane organizacyą partyjną. Taka instytucya przyczyniłaby się niewątpliwie do spojenia naszej ewolucyjnej lewicy, ale bynajmniej nie usunęłaby gruntu z pod nóg stronnictwa, które posiada swoje ściśle określone cele. Te cele, które sięgają w daleką przyszłość, nadają lżejszą wagę interesom bieżącym. Zadaniem tego rodzaju grup, jak Demokracya Postępowa, nie może być uganianie się za jakąś doraźną korzyścią, za chwilowym tryumfem. Czy ona wprowadzi lub nie wprowadzi swego przedstawiciela do Dumy, to jest sprawą bardzo drobną, którą należy pozostawić zabiegom i śmiesznej pysze wszelkich mieszańców liberalizmu, głodowi motylów politycznych, wysysujących swoje krótkie życie z mandatów i ginących wraz z nimi. Demokracya Postępowa powinna odsunąć moment swego zwycięztwa na czas odległy, zdobyć się na cierpliwość, wytrwałość i wiarę w siebie, jak to uczyniły wszystkie poważne stronnictwa, pracujące dla przyszłości. Powinna być ideową, a nie mandatową lub posadową, a wtedy może być spokojną o swe powodzenie. Zgubić ją zdoła tylko odchylenie się od swego pionu.

List z Wiednia.

Nie minął tydzień a w parlamencie austryackim znów się pokazało widmo obstrukcyi. Upiór, znany nam od lat kilkunastu, wystąpił w nowej postaci. Swarliwy, wrzaskliwy a w najlepszych wypadkach gadatliwy dotychczas, dziś przemienił się w milczącego stracha. „Nic nie mówi, nic nie gada, przebóg cóż to za szkarada!". Poszło o sprawę ważną, bo o kwestyę protokółowania mów nieniemieckich. Z dawien dawna posłowie słowiańscy domagają się dla siebie prawa nietylko przemawiania w języku ojczystym, lecz także przedruku tych mów w stenograficznym protokóle posiedzeń. Dotychczasowa praktyka była dość nielogiczna i wskutek tego po części też śmieszna. Posłowie ci, przeważnie Czesi, przemawiali ojczystą mową a przewodniczący udawał, że ich nie rozumie. Bo przewodniczącym bywał zazwyczaj Niemiec, który, choć w ustawie tego nie ma, obstawał przy niemieckim języku państwowym i, chociaż umiał po czesku, dla doktrynerstwa puszczał mimo uszu najgorsze oratorskie wybryki czeskich radykałów. A w protokóle urzędowym stało potem: „Poseł N. N. wygłasza mowę w języku czeskim". Już na konferencyach w biurze izby, które poprzedziły zebranie się parlamentu, Czesi wznowili swoje żądanie, ażeby zaniechano dotychczasowego trybu i dopuszczano mowy nieniemieckie do protokółu; prócz tego żądali dla siebie i innych Słowian prawa przedstawiania wniosków w języku ojczystym, a od rządu wnoszenia projektów do ustaw równocześnie we wszystkich językach monarchii. Cała ta sprawa dotychczas niezałatwiona. Więc, żeby wywrzeć nacisk na prezydyum i na stronnictwa, opierające się ich żądaniom, posłowie czescy oświadczyli, że dopóty w ogóle w izbie przemawiać nie będą, dopóki żądaniu ich nie stanie się zadość.

Przyznać trzeba, że i tym razem, jak kilkakrotnie już w czasach obstrukcyi, „furor bohemicus" zagalopował się. Przemieniwszy się na jakiś zbór trapistów—takiem drwiącem przezwiskiem zaszczyca tych posłów nawet część prasy czeskiej — klub czeski w samym parlamencie nikomu chyba nie wyrządza przykrości a koszta tak mało poważnej, prawie dziecinnej, demonstracyi poniosą lud i kraj czeski. Z góry też można przepowiedzieć, że gdyby w tej językowej sprawie parlamentu do kompromisu przyjść nie miało, klub czeski musiałby się chwycić pierwszej lepszej okazyi, by się wycofać z niemożliwej pozycyi zadąsanego dziecka. Pomimo to trudno zaprzeczyć, że sprawa, tak niefortunnie zaczęta, jest nadzwyczaj poważną a przytem trudną do rozwiązania. Dotyka ona przedewszystkiem samych teoretycznych podstaw parlamentaryzmu. Etymologia a bardziej jeszcze cel instytucyi wskazują, że parlament służyć ma do porozumienia się osób i stronnictw, w nim zasiadających. Teoretycznym ideałem więc byłoby, żeby każdy przemawiał językiem zrozumiałym dla wszystkich innych, ażeby wszelkie druki, protokóły, czy projekta do ustaw spisywane były w języku lub językach, przystępnych dla wszystkich członków. Na tym punkcie teorya i praktyka schodzą się chyba we wszystkich parlamentach europejskich, z wyjątkiem austryackiego i rosyjskiego. W Belgii prawie wszyscy Flamandzi rozumieją po francusku, w Szwajcaryi zetknęły się trzy światowego znaczenia języki i poseł szwajcarski, niewładający wszystkimi trzema, należy do wyjątków. Inaczej w Austryi — zresztą i na Węgrzech—inaczej też i w Rosyi. U nas, a szczególnie w izbie obecnej większość posłów nie należy do narodowości niemieckiej; jako większość mieliby teoretyczne prawo żądać, żeby oni stanowili o języku, w którym mają odbywać się narady. Lecz tu już napotykamy punkt sporny: czy wolno teoretycznie żądać obrad w języku, który, choćby był przyjęty jako język urzędowy izby przez większość, przecie byłby zrozumiałym tylko dla nielicznej mniejszości? Czy wolno słowiańskiej większości tej izby postanowić, że obrady odbywają się po czesku, skoro po czesku rozumieją prócz samych Czechów tylko jeszcze niemieccy posłowie z krajów czeskich? Cała sprawa należy do rodzaju tych, które w Anglii nazywają: „A question of expediency". Polacy w parlamencie austryackim o tyle dotychczas uznawali czysto praktyczne znaczenie tej kwestyi, że jeszcze nigdy nikt z Koła Polskiego nie wygłosił w wiedeńskim parlamencie mowy polskiej. Dziś atoli dla Polaków stosunki zmieniły się poniekąd. Wskutek powszechnego głosowania weszła do izby daleko znaczniejsza liczba posłów polskich, którzy po niemiecku albo wcale nie rozumieją, albo, choć zdolni są zrozumieć mówcę niemieckiego, sami po niemiecku mówić nie mogą. Tak samo i w innych stronnictwach. Zdaje się, że w parlamencie wiedeńskim zasiada obecnie jakich stu posłów — prawie piąta część izby, — którzy oprócz swego

---

10)

L. F. Pantielejew.

Z dawnych wspomnień.

(Ciąg dalszy)

Wybrałem Jenisiejską, gdzie brat żony miał dość znaczne kopalnie złota i gdzie teść z dawnych czasów, kiedy mieszkał na Syberyi, zachował sporo stosunków z właścicielami kopalń złota. Despot-Zenowicz powiedział mojej żonie, że do Tobolska nie potrzebuję jechać na swój koszt, gdyż on na mocy kontraktu ma prawo do pewnej liczby miejsc na statku, (więźniów wieźli na barżach) i tam nas ulokuje; rozporządzenie co do tego otrzymała ekspedycya. Ekspedycya w papierach zapisała mię, jako „zgrzybiałego", choć w rysopisie miałem lat 25 i już zupełnie niepotrzebnie zrobiła z nas obojga „katolików", jakimi zostaliśmy do wyjazdu z Syberyi.

Przyszedł nakoniec z Tiumenia niecierpliwie oczekiwany statek z barżą dla aresztantów, było to w samym początku lipca. Wszystkich nas zaprowadzono na przystan, gdzie czekał już urzędnik, mający wyprawić partyę; podług spisu oddzielił on tych, którzy mieli jechać na statku, a w tej liczbie moją żonę i mnie, i przedstawił kapitanowi, żeby nas ulokował. Ten oświadczył, że nie może nas przyjąć na statek, gdyż ma podróżnych z Tiumenia. Urzędnik obstawał przy swojem, twierdząc, że takie jest rozporządzenie gubernatora, a kapitan wciąż dowodził, że niema miejsca. Nakoniec urzędnik odjechał zawiadomić gubernatora.

Despot-Zenowicz, Polak i katolik, pochodził ze starożytnego rodu polskiego na Litwie. Z powodu stosunków rodzinnych wychowywał się w Moskwie w domu Tuczkowów; ukończywszy świetnie uniwersytet, za radą Granowskiego gotował się zdawać na stopień magistra, ale całkiem niespodzianie w 1848 r. został aresztowany w Wilnie i tak, jak stał, wysłany do Permu, skąd znowu za list do szefa żandarmów, Orłowa, w którym dowodził konieczności reform liberalnych, wywieziony do wschodniej Syberyi. Tu wziął go na służbę Murawiew i nierzadko powierzał mu bardzo ważne sprawy w zakresie politycznych i handlowych stosunków z Chinami. Tą drogą stopniowo doszedł Despot-Zenowicz do stanowiska naczelnika miasta Kiachty, a w końcu 62 r. został mianowany gubernatorem tobolskim; przyczem z trzech kandydatów, przedstawionych przez Wałujewa, Aleksander II osobiście wybrał jego. Jak w Kiachcie, tak w Tobolsku zostawił on po sobie wśród wszystkich warstw ludności pamięć głęboką i wdzięczną za swą uczciwość, rozumne postępowanie i niezmordowaną walkę z bezprawiem i gwałtem wszelkiego rodzaju. We dwadzieścia lat po opuszczeniu stanowiska gubernatora przez Despot-Zenowicza mówili mi tobolscy chłopi: takiego gubernatora, jak Despot-Zenowicz, nigdyśmy jeszcze nie mieli. Opatrzność posłała go do Tobolska, przez który za jego czasów przeszło dzesiątki tysięcy zesłanych Polaków. Jak grad sypały się na niego denuncyacye, nie od samych żandarmów, lecz od różnych eksploatatorów miejscowych, których drapieżność on starał się opanować, Despot-Zenowicz wszystkim się jednak obronił i na stanowisku trwał do r. 66, kiedy gubernatorem został mianowany Chruszczow, D.-Zenowicz zaś przeniósł się do Petersburga, gdzie wkrótce został członkiem Rady M. S. W. Karyera jego służbowa była skończona; swój czas podzielił on teraz między książki i ciągłe starania za kimkolwiek z pokrzywdzonych, bez różnicy narodowości i wiary. A choć on nigdy nie krył się ze swymi liberalnymi poglądami, zawsze zaznaczał, że jest Polakiem i katolikiem — w gruncie rzeczy był racyonalistą, dalekim od wszelkiej wyłączności. Jego rozum i prawość jednały mu taki szacunek, że zwykle staraniom jego towarzyszyło powodzenie. Despot-Zenowicz zmarł w 1895 r. w wieku lat 65.

własnego, słowiańskiego języka, innego nie znają. Jakże więc ci posłowie mogą być użyteczni, skoro mów, wygłaszanych, nie rozumieją, nawet żadnych wniosków i projektów drukowanych przeczytać nie mogą? Na posiedzeniach chyba rady niema. Trudno przecie każdemu posłowi dawać po kilku tłomaczów, którzyby na miejscu tłomaczyli mu, co który mówca po niemiecku lub inaczej mówi. Natomiast z drukami rzecz dałaby się załatwić, gdyby nie doktryneryzm niemiecki. Dla protokółu możnaby tłómaczyć na niemieckie mowy słowiańskie według stenografów; należałoby tylko urządzić odpowiednią służbę stenograficzną w parlamencie. Z projektami rządowymi sprawa nawet łatwiejsza, niż się zdaje. I tak już każda ustawa sankcyonowana drukuje się w urzędowych przekładach na wszystkie języki monarchii. Na przyszłość wypadałoby tłomaczyć zamiast ustaw, już uchwalonych, same projekty do ustaw. To znów nie byłoby tak nadzwyczajnem pomnożeniem pracy i kosztów. Znaczne wydatki urosłyby tylko z urządzenia wielojęzycznego biura stenografów.

Prędzej, czy później sprawa się załatwi. Lecz żaden układ nie usunie faktu, że skoro podstawą konstytucyi w państwie wielonarodowem musi być równouprawnienie narodów we wszystkich a więc i w językowych względach, centralny parlament już „by reason of expediency", — dla względów czysto praktycznych — nadawać się będzie do załatwienia tylko spraw rzeczywiście ogólno-państwowych. Bo w sprawach krajowych nadto często przedstawiciele kraju interesowanego nie mogą się porozumieć należycie z resztą członków parlamentu. Tak z natury samej rzeczy życie konstytucyjne państw wielonarodowych rozwijać się może tylko w formach autonomicznych.

Interim.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Prezydentem austryackiej izby posłów wybrany został dr. Weiskirchner, pierwszym wiceprezyndentem dr. Zaczek, drugim Starzyński! Weiskirchner otrzymał 351 głosów, na Pernerstorfera padło 101 głosów. „To nie był tylko wybór prezydyum—pisze *Arbeiter Zeitung* — kontury nowej większości rządowej i nowego rządu zarysowały się w liczbach głosów. Przyszłością jest: nacyonaliści w orszaku chrześciańsko-socyalnym. Utworzyła się zwarta większość klasowa przeciw socyalnej demokracyi; dla niej ta formacya może być tylko pożądana." „Kto tak niepopularnego kandydata zdołał przeprowadzić — wnioskuje *N. Freie Presse* — ten jest silnym. Klerykali stanęli u szczytu swej nieszczęsnej władzy." Prezydent ministrów Beck, omawiając projekt prowizoryum budżetowego, ostrzegał przedstawicieli klas posiadających przed dotychczasową metodą nieliczenia się z potrzebami szerokich mas ludowych i wskazywał wyniki wyborów, jako groźne memento dla mieszczaństwa. Prasa postępowa przemówienie ministra przyjęła z zadowoleniem. Natomiast ostrą krytykę wywołało oświadczenie ministra spraw wewnętrznych Bienertha, że rząd jest przeciwny powszechnemu głosowaniu do sejmów krajowych ze względu na ich charakter korporacyi administracyjnych. „Jeżeli parlament jest naprawdę ludowym—pisze *Nowa Reforma* — to nie pozwoli na to, aby rząd stosował inną politykę socyalną w parlamencie a inną w sejmach." Do rozpatrzenia nagłego wniosku o nadużycia przy wyborach w Galicyi mianowana będzie komisya z 36 członków, która będzie miała prawo badania świadków, oraz ściągania wiadomości od władz. Koło polskie na wiceprezesów wybrało: dr. Dulębę, ks. Pastora i dr. Głąbińskiego. W wielkich komisyach Koło będzie miało według regulaminu wyborczego 6, a w małych 3 członków: ludowcy w wielkich 2 a w małych 1. Do komisyi legitymacyjnej wybrano z klubu socyalistycznego 4 posłów galicyjskich. Postępowi posłowie niemieccy postanowili utworzyć „wolnomyślny związek niemiecki."

Nominacya znienawidzonego przez Chorwatów Rakodczay'a na stanowisko bana podnieciła, jak było do przewidzenia, obstrukcyę chorwacką w parlamencie węgierskim. Posłowie chorwaccy wystosowali proklamacyę do narodu, w której nominacyę Rakodczaya na bana nazywają przeciwną konstytucyi, albowiem wola większości sejmu zagrzebskiego nie została uwzględniona. Rząd obmyślił jednak sposób sparaliżowania obstrukcyi. Wniosek, dotyczący pragmatyki służbowej kolejarzy, został zmieniony—będzie miał tylko jeden paragraf, postanowiający, aby ta pragmatyka służbowa wprowadzona została drogą rozporządzenia, a to z tej racyi, że urzędników kolejowych nie należy uważać za urzędników państwowych, lecz tylko za pracowników państwowych. W Zagrzebiu ludność przez 3 dni demonstrowała przed pałacem bana. Wszyscy trzej szefowie sekcyi wręczyli banowi prośbę o dymisyę, to samo zrobiło pięciu nadżupanów. Wobec braku kandydatów Rakodczay zamierza powierzyć kierownictwo sekcyi prowizorycznie urzędnikom.

Ponieważ w dzielnicach polskich zaboru pruskiego jest dotkliwy brak nauczycieli ludowych, przeto minister oświaty (były), Studt przesiedlił z Westfalii i Nadrenii około 30 nauczycieli do dzielnic polskich, rozkazawszy im, ażeby natychmiast wybrali się w podróż. Niespodziewanie jednakże 23 z nich jak najstanowczej oświadczyło, że nie zastosują się do rozkazu ministra oświaty i nie powędrują do dzielnic wschodnich pod żadnym warunkiem. Rząd pruski wobec tego strajku cofnął się, rozkaz wyjazdu został odwolany.

Nadprezydent prowincyi Hessen-Nassau, p. Windheim, mianowany został nadprezydentem Prus wschodnich, na miejsce Moltkego, który objął tekę ministra spraw wewnętrznych.

Izba francuska uchwaliła ponownie zaufanie ministeryum Clemenceau 323 głosami, przeciw 233. Dalszy dowód przychylności stanowi uchylenie 323 głosami przeciw 256 wniosku o zarządzenie śledztwa parlamentarnego, rząd dowodził, że śledztwo prowadzone przez sądy zwykłe wystarcza.

Marceli Albert oddał się w ręce sprawiedliwości i osadzony został w więzieniu. Rada ministrów oświadczyła się przeciwko propozycyi posłów socyalistycznych, co do uwolnienia wszystkich aresztowanych na południu. Prócz tego postanowiła oddanie pod sąd członków Izby sądowej i prezesa wydziału karnego izby w Montpellier za ogłoszenie listu z groźbami pod adresem rządu.

Zjazd delegatów komitetu winogradników w Narbonne uchwalił żądać uwolnienia wszystkich aresztowanych i do czasu spełnienia żądania trwać w strejku podatkowym i municy-

---

Moje osobiste spostrzeżenia w Tobolsku nie przekraczały, naturalnie, murów więzienia; wspomniałem poprzednio, jaki o brzydliwy przyodziewek otrzymali więźniowie w Wilnie, i że większość politycznych zrzucała go,jak tylko przedstawiała się możność po temu. Otóż w Tobolsku wszyscy zatrzymywali ubranie, które było wyrabiane z dobrego i trwałego materyału; tak nazywane np. „brodjażki" z sukna wielbłądziego; po przybyciu na miejsce przerabiano je na paltoty; kto nie potrzebował odzieży rządowej, oddawał ją biedniejszym. Żywili nas też w więzieniu dobrze; przyczem należy pamiętać, że administracya tobolska rozporządzała tylko tem, co dostawała od rządu, gdyż miejscowy komitet opiekuńczy nie posiadał żadnych prawie środków — a Tobolsk był biednem miastem.

Despot-Zenowicz wchodził w położenie każdego zesłańca, który zwracał się do niego, i wszystko robił, ażeby warunki jego złagodzić, jeśli formalnie była możność o coś się zaczepić. Tym, którzy zostawali w gubernii tobolskiej, starał się wynaleźć zajęcie i nie krępował ich niczem w wyjazdach za interesami; wielu dawał pracę w kancelaryi. Trzeba dodać dla charakterystyki Despot-Zenowicza, że miał naturę popędliwą i rozdrażniony nie hamował się nawet z naczelnikami niezależnych od niego urzędów; to też jeśli kogo wzywał do siebie, wezwany dowiadywał się naprzód w jakim usposobieniu znajduje się generał.

Wracam do przerwanego opowiadania: Po chwili ujrzeliśmy nadjeżdżającego Despot-Zenowicza; wyskoczył z powozu i do kapitana: — Jak pan śmiesz zatrzymywać wyjazd partyi? Cóż to pan nie wiesz, że ja na mocy kontraktu mam prawo do dziesięciu miejsc na statku? Ja wam zatrzymam wypłatę pieniędzy za przewóz i pociągnę do odpowiedzialności przed prawem.

— Ja wiem, że wasza Ekscelencya ma prawo do dziesięciu miejsc na statku i tyleż mam w zapasie, ale tu przeznaczono daleko więcej (prawie dwa razy tyle).

— Jakto, daleko więcej? Proszę przeliczyć. — Kapitan uszczęśliwiony zaczyna rachować: raz, dwa, trzy... ale Despot-Zenowicz przerywa mu i sam kończy: sześć... siedm... dziesięć! — wskazując na ostatniego.

— Słucham Wasza Ekscelencyo, będzie przydany drugi statek.

Nie kontentując się tem zwycięztwem, Despot-Zenowicz zawołał, siedząc już w powozie: — Pantielejew! — Zbliżyłem się. — Na pana wkładam odpowiedzialność, ażeby moje rozporządzenie najakuratniej zostało spełnione — i z temi słowy odjechał, zostawiając mnie w zdumieniu. Zwracam się do towarzyszów z zapytaniem, jak mam rozumieć słowa Despot-Zenowicza. — Nakazał wam być jakby starostą nad tymi, którzy znajdą się na statku.

W dwie, czy trzy godziny potem przystawiono drugi parostatek. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, jak po drodze do Tomska trudno będzie o zdobycie żywności, to też z Tobolska zabraliśmy zapasów, co się dało.

W trzy tygodnie byliśmy już w Tomsku; statek przyprowadził dwie barże: jedną z towarami, drugą z 500 więźniami, w tej liczbie było 100 politycznych. Ulokowani byliśmy tak wygodnie, jak to było na takim statku możliwe. Kajuty dano nam I klasy, lecz szyby w oknach były potłuczone, drzwi nie domykały się, groszowe tapety były podarte i brud wszędzie straszliwy, ale nie zdumiewający, gdyż służba w ciągu tych dwóch tygodni nie zjawiła się ani razu dla sprzątnięcia; sami musieliśmy o tem pamiętać. Zwierzchność statku zaznaczała się jak największą dobrodusznością. Kapitan cały czas albo spał, albo pił herbatę, lub dla zabicia czasu grał w szachy. Maszynista ciągle grał w stukołkę i dobrze zarabiał, niczem więcej nie zajmując się. Kiedym nieraz zwracał uwagę na brudny stan, w jakim znajdowała się maszyna, odpowiadał mi, że to Syberya nie Rosya, do niego należy jak najprędzej podróż skończyć, zimą zaś wszystko się oczyści.

W bufecie miało się niby wszystkiego,dostać, ale tymczasem nic nie było prócz mąki

palnym. Charakterystyczną jest druga uchwała zjazdu: „utworzyć podstawę do sfederowania czterech departamentów winogradniczych południa". Skłonności federalistyczne owych departamentów nieraz już były przedmiotem rozpraw w prasie, nie dostrzegano jednak ekonomicznych podstaw separatyzmu. Senat zatwierdził ustawę przyjętą przez izbę posłów przeciw fałszowaniu wina; jest ona 18 z kolei w szeregu rozporządzeń prawodawczych podczas ostatnich lat 30, wydanych na korzyść winogradników.

Ludność kantonu genewskiego uchwaliła 30 z. m. za pośrednictwem głosowania powszechnego rozdział kościoła od państwa 7,686 głosami przeciw 6,822.

W belgijskiej izbie deputowanych rozpoczęły się obrady nad reformą wyborów do rad gminnych i prowincyonalnych. Prawica oświadczyła, że nie dopuści do zmiany obecnego luralnego systemu, socyaliści żądają powszechnego prawa wyborczego, liberali, bojąc się utraty mandatów wielkomiejskich, proponują przyznanie prawa wyborczego wszystkim 25-cio letnim obywatelom z głosem dodatkowym dla ojców rodzin od lat 35.

Wniosek rządu angielskiego w sprawie reformy izby lordów przyjęła izba gmin 432 głosami przeciw 147. Wniosek członka partyi robotniczej o zniesienie izby lordów odrzucony został 315 głosami przeciw 100.

Król Portugalii, Karol, zamierza podobno abdykować na rzecz następcy tronu, który z tego powodu zaniechał podróży do kolonii portugalskich w Afryce. Krążą tu pogłoski o mającem nastąpić w najbliższej przyszłości ogłoszeniu dyktatury wojskowej i przywróceniu kary śmierci. Prezes ministrów, Franco, rozpoczął zaciętą walkę z prasą. „Heraldo de Madrid" twierdzi, że nawet podczas rewolucyi 1842, 1851 i 1862 r. rząd portugalski nie śmiał stosować takich środków represyjnych, jak obecnie.

Sąd wojenny w Sofii rozpoczął rozprawy w procesie Petrowa, mordercy prezesa gabinetu bulgarskiego, Petkowa, i oskarżonych o pomaganie mu dziennikarzy: Iwana Ikonomowa, Mateja Gerowa i Wasyła Chranowa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

O potrzebie niezależności ekonomicznej kobiet.[1]

W długim szeregu referatów, wygłoszonych na sekcyi ekonomicznej zjazdu kobiet polskich w Warszawie, spotkaliśmy wiele interesujących szczegółów, oświetlających mniej lub więcej wyczerpująco rożne strony pracy kobiet oraz warunków, w jakich się ta praca rozwija. Słyszeliśmy gorące wzywania kobiet do organizowania się w związki zawodowe, do łączenia się na zasadach współdzielczości, do przekształcenia gospodarstwa domowego, które tyle drogiego czasu pochłania kobietom. Słyszeliśmy o konieczności ustaw, zabezpieczających pracę kobiecą przed wyzyskiem oraz przed wyczerpaniem sił kobiecych w zawodach, dla organizmu kobiecego szkodliwych. Żądaliśmy ochrony pracy kobiecej i ochrony macierzyństwa. Z mojego punktu widzenia brakło jednakże referatu zasadniczego, dotyczącego konieczności ekonomicznego uniezależnienia kobiety. Zastrzegam się na tem miejscu, że mówić będę stale o *ogóle* kobiet, niezależnie od ich stopnia inteligencyi lub przynależności do klasy społecznej. W jednym z odczytów swoich p. Marya Turzyma określiła dzisiejszą zależność kobiety przez symbol potrójnego niewolnictwa: niewola ducha, ciała i chleba.

Chcę tutaj pomówić tylko o owej niewoli chleba, w której znaczna część kobiet bardzo często, niestety, bez protestu pozostaje.

Odpowiedni paragraf kodeksu cywilnego opiewa: „żonie winien mąż zapewnić utrzymanie" i dalej „żonie, żyjącej w separacyi z mężem, przysługuje prawo żądania od niego alimentów".

Przeciętny ogół zarówno kobiet, jak mężczyzn z treścią owych paragrafów się godzi i nie widzi w nich sponiewierania godności ludzkiej kobiety. Uprzytomnijmy sobie bowiem istotną treść słów powyższych. Małżeństwo według pojęcia prawnego jest formą, regulującą płciowe stosunki jednostek, sankcyonującą te stosunki, a nawet je nakazującą. Gdy który z małżonków do obcowania cielesnego jest niezdolny, małżeństwo *może*, a nawet *powinno* być unieważnionem. Dalszą konsekwencyą małżeństwa jest płodzenie dzieci oraz ich wychowanie. Oto jest naga treść małżeństwa. Prawo zdziera wszelkie idealne osłonki. Mężczyzna, zawierający małżeństwo, wzamian za pewną stałą kwotę pieniężną dostaje prawo obcowania płciowego z kobietą, która *musi* mu być zawsze powolną, (wymaga bowiem od niej tego zarówno prawo, jak i kościół, patrz odpowiednie przepisy teologii moralnej) i która wzamian za tę niewolę ciała dostaje utrzymanie, czyli popada w dodatkową niewolę chleba, a przez to sponiewieranie—jeszcze i w niewolę duchową.

Tak tedy wszystkie kobiety zamężne podane są ustawowo w ekonomiczną zależność od mężczyzny.

Jakkolwiek na ustawy możnaby się już dzisiaj zapatrywać jako na formę jedynie, która z istotną treścią życia niewiele ma wspólnego, i która wobec rozwoju jednostek staje się coraz zbędniejszą, to jednak znaczna większość dzisiejszego społeczeństwa w ustawach widzi sformułowanie treści życiowej, a ogół przecież tym ustawom podlegać *musi*. Tak więc owych paragrafów ustawy żadną miarą dziś jeszcze lekceważyć nam niewolno i dlatego kobiety żądać powinny takiego skodyfikowania praw swoich, aby ono nie przynosiło ujmy ich godności ludzkiej.

Kwestyę tę poruszam tu głównie dlatego, że dla przeważnej części dzisiejszego społeczeństwa przepisy prawne poniekąd two-

[1]) Ponieważ w sprawozdaniu z sekcyi ekonomicznej zjazdu kobiet w Warszawie słowa wypowiedziane przez p. d-ra Tomaszewicz Dobrską, przypisano mylnie (z winy Redakcyi, nie sprawozdawcy) pani Bujwidowej, przeto w celu sprostowania podajemy powyższe, nadesłane nam przez panią Bujwidową streszczenie jej przemówienia.

---

i słoniny. Co trzy dni coprawda zatrzymywał się statek dla kupienia mięsa, ale nie było go gdzie trzymać z powodu braku lodowni, więc rozwieszano je na pokładzie a ponieważ czas był bardzo gorący, psuło się prędko i wyrzucano je do wody. A kiedy zwróciliśmy uwagę kapitana, że lodownię bardzo łatwo dałoby się urządzić, gdyż lodu można było dostać w każdej wiosce po drodze. — Racya — rzekł — trzeba o tem pomyśleć. — Głodu jednak nie cierpieliśmy. Wybraliśmy z pośród siebie dostarczycieli, których obowiązkiem, wcale niełatwym, było gromadzić zapasy. Święto było wielkie, kiedy udało się dostać cielę. Przyczem trzeba było oddać sprawiedliwość pani Esman, żonie jednego z politycznych, że umiała nakarmić nas z niczego.

Towarzystwo na szczęście mieliśmy bardzo przyjemne. Czas był też prześliczny, więc całą drogę przespałem nocą na pokładzie. Od komarów broniłem się siatką, którą przywiozłem z Petersburga Za moim przykładem inni też porobili sobie siatki.

Czas płynął szybko, do czego pomagały karty (ja z Nowickim z zapałem oddawaliśmy się pikiecie), po części też i szachy. Wieczorami niekiedy urządzaliśmy koncerty ze skrzypiec i fletu. Był między nami jeden takie dziwadło, któremu wydawało się, że jest pięknością i w dodatku doskonałym śpiewakiem; największą uciechę stanowiło dla wszystkich, jeśli się udało namówić go do zaśpiewania jednej, ulubionej przez niego, małoruskiej piosenki.

Z Tobolska do Tomska wodą ma być 2500 wiorst, nikt zresztą odległości nie mierzył. Trudno wyobrazić sobie coś smutniejszego nad brzegi tej części Irtysza i Obi. Nizkie, porosłe rokitą, lasów nie widać — znajdują się bardzo daleko. Choć to było w lipcu, wylew wody był jeszcze duży: skargi na to słyszeliśmy ciągle. Połów ryb wskutek tego nie rozpoczął się był jeszcze. Cały kraj znajdował się w rękach niewielu kapitalistów. Jednego takiego poznaliśmy w Surgucie. Futra, skóry, kość mamutową, wywoził on na jarmarki do Niższego Nowogrodu. Przyjął nas bardzo gościnnie, zastawił przekąskę, a kiedym oświadczył, że chciałbym coś kupić na pamiątkę, sprzedał mi za dwa ruble kość mamutową, która, jak się potem okazało, nie była warta jednego grosza, jako całkiem zgniła. W tym czasie bawił u niego syn, urzędnik z Berezowa, który mówił: — E, co tam Surgut, prawdziwa dziura, co innego Berezow, tam dobre towarzystwo i czas można spędzić bardzo przyjemnie, codzień partya stukołki po 2 rb. stawka.

Z Surguta do Naryma wiorst zdaje się 700; w tej stronie koczują licznie ostjacy, od których spodziewaliśmy się wiele dla zaopatrzenia naszej śpiżarni. Jak tylko ukazywała się łódka którego z nich, na statku powstawał ruch, dawanie wzywających znaków—tak chciało się wszystkim skosztować świeżej ryby, ale połów jeszcze się prawie nie zaczął, więc ostjak najczęściej nie zwracał uwagi na nasze wezwania. Zdaleka widywaliśmy ich letnie obozowiska; w jednej wiosce spotkaliśmy całą rodzinę ostjacką, ale na nasz widok rozbiegli się, gdzie kto mógł. Z kapitanem miewaliśmy z powodu nich starcia; on nieżartem gniewał się, że psujemy ostjaków płacąc im za dziesięć sterletów średniej wielkości po 50 kop., kiedy wystarczyłoby dać funt machorki (10 kop.) lub kawał chleba.

Partyę, naturalnie, prowadził oficer z konwojem, który znajdował się na barży; czy kto z nich był na statku — nie pamiętam, wiem tylko, że przy każdem zatrzymaniu się swobodnie wychodziliśmy na brzeg i niekiedy oddalali się na kilka wiorst, przyczem konwojujący nietyle nas pilnowali, co zajmowali się różnemi, handlowemi sprawami.

Nakoniec wpłynęliśmy na Tom, w zwykłym czasie szeroki na 400 sążni; brzegi jego są wysokie, woda zielonawa i szczególnie piękna w dzień słoneczny. Do Tomska było już tylko 60 wiorst. Ledwie parochód wpłynął do przystani, wśród licznie zebranej na brzegu publiczności zobaczyłem Rudomina, który tu przybył jeszcze zimą. Jak tylko nastąpiło połączenie z brzegiem, wszedł on na statek i

rzą podstawę t. zw. moralności. To, co jest prawnie dozwolono albo nakazane, jest tem samem moralne. Tak sądzi przeciętny człowiek, nieuświadomiony lub niezastanawiający się głębiej.

W pojęciu dzisiejszego ogółu kobieta nie jest jednostką, przeznaczoną do samodzielnego bytowania, a więc tem samem nie jest obowiązaną do zdobycia sobie warunków istnienia; w młodości, jako „panna", dostaje ona utrzymanie od rodziców, a po zamążpójściu od męża. Człowiek, w pojęciu przeciętnego ogółu, to mężczyzna, a kobieta, to tylko owo „żebro Adamowe", stworzone później gwoli uprzyjemnienia życia mężczyznie albo brutalniej, gwoli zaspokojen a jego potrzeb zmysłowych,—oraz narzędzie służące do przedłużenia istnienia rodzaju ludzkiego. Z tem pojęciem zżył się ogół zarówno męzczyzna, jak kobieta. Tylko niewielka garstka wyzwolonych dusz kobiecych czuje się ludźmi samoistnymi, mającymi takie samo prawo do życia, co każdy mężczyzna. Jak żaden mężczyzna nie zgodziłby się chyba, żeby „przeznaczeniem jego było zapładnianie kobiety" i że za tę funkcyę, (bez której przedłużenie rodzaju ludzkiego byłoby również niemożebnem jak i bez macierzyństwa kobiet), powinien od kobiet dostawać utrzymanie, tak kobiety nie powinny cierpieć dłużej roli „utrzymanek" mężczyzny, czy to w małżeństwie, czy po za niem.

Dla tego postulat ekonomicznego uniezależnienia kobiety uważam za pierwszorzędny, wiąże się on bowiem ściśle z niewolą zarówno ciała, jak ducha.

A to uniezależnienie kobiety rozumiem tylko i jedynie przez powołanie wszystkich kobiet jako pracownic do szeregów ludzi wolnych, samodzielnych, niezależnych. Każdy człowiek ma prawo do życia. Życie jest ruchem, jest czynem, jest pracą. Nie *pasorzytować* lecz *żyć* powinien każdy bez względu na płeć swoją. Kobieta, która godzi się, by jej to mężczyzna, to kapitał dawał utrzymanie, godzi się tem samem i na rolę pasorzyta w społeczeństwie.

I niech się taka kobieta - pasorzyt nie dziwi, że jej praw przyznać nie chciały różne, dotychczasowe kodeksy. Pasorzytom się, prawa nie należą. Wprawdzie dotychczasowe ustawy, opierające się na przywileju, przyznawały również prawa różnym pasorzytom męzkim a krzywdziły robotników, pracujących na utrzymanie zarówno swoje, jak i owych pasorzytów uprzywilejowanych, jednak w obec kobiet ustawy te były konsekwentne. Niesamodzielnej jednostce, utrzymywanej pracą mężczyzny, nie należało się żadne prawo.

Tak rozumowali dotychczasowi prawodawcy. Ale patrzyli oni tylko na przepis prawa, nie patrzyli w życie. Dla miliona kobiet-robotnic, owo „utrzymanie przez rodziców lub męża" jest fikcyą papierową — one pasorzytami oddawna być przestały i dziś pokutują za grzechy niepopełnione. Za to, że znikoma mniejszość kobiet zamożnych pasorzytuje a nie żyje, całe zastępy kobiet pracujących cierpią krzywdę, a także ponoszą hańbę, gdyż w obec prawa i one również za pasorzyty są uznawane. Jakżeż ironicznie brzmi dla robotnicy-matki ów paragraf: „mąż winien zabezpieczyć żonie utrzymanie" — podczas gdy ona ma tę świadomość, że gdyby nie praca jej rąk własnych, to i ona i dzieci marłyby z głodu. Kobieta-robotnica jest dziś jednostką wolną, niezależną, jest człowiekiem, któremu z tytułu jej *pracy* wszelkie się prawa należą.

Robotnicami stać się winny wszystkie kobiety. Najbardziej wykształcona, lecz zależna ekonomicznie jednostka, żyjąca nie z pracy własnej, lecz z pracy innych, jest pasorzytem, który nie powinien mieć czoła upominać się o prawa jakiekolwiek. Samodzielność tedy i niezależność ekonomiczną zdobyć winny kobiety przedewszystkiem! I dla tego obok zdobycia prawnego uznania przez ustawę kobiety za jednostkę samodzielną, powinny one starać się o wywalczenie dostępu do wszystkich dla siebie odpowiednich zawodów, do zdobycia ogólnego i zawodowego wykształcenia, do zdobycia równej płacy za równą pracę, do wyszukania nowych terenów pracy, do reformy gospodarstwa domowego.

Gdy na arenę pracy wkroczą całe zastępy pasorzytujących dzisiaj jednostek, spadnie z ramion dzisiejszej klasy pracującej ten nadmierny ciężar pracy, przytłaczający ją do ziemi. Gdy *wszyscy* ludzie pracować będą — już nie 8 godzinny dzień pracy, ale może nawet 5 lub 6 godzin dziennie wystarczy do wytworzenia wszystkich tych produktów, których wymaga zaspokojenie życiowych potrzeb człowieka. [2])

Pozostaje jeszcze do omówienia kwestya macierzyństwa kobiety. Pracować bowiem obowiązany jest tylko człowiek zdrowy. Przychodzi tedy pytanie, co począć ma kobieta w okresie swojej niezdolności do pracy, czyli w ostatnich tygodniach przed i pierwszych po porodzie. Zastrzedz się tu musimy jednakże przeciw żądaniu różnych „reformatorów" społecznych, którzy kobietę-matkę w ogóle uważają za istotę niezdolną do pracy. Twierdzimy bowiem, że w warunkach normalnych dwumiesięczny odpoczynek dla kobiety rodzącej jest aż nadto wystarczający. Są wszakże tak gorliwi obrońcy kobiet, którzy żądają 19 miesięcznego okresu ochrony dla matki po każdem dziecku, co równałoby się fizycznemu i moralnemu zdegenerowaniu kobiety i wyłączeniu jej od wszelkiej zarobkowej pracy na cały okres jej życia.

Pytanie, postawione powyżej, redukuje się tedy do następnego: kto ma ponosić ciężar, wynikający z przymusowej w tym okresie bezczynności (acz i to niezupełnej) kobiety? Na to pytanie widzimy jedyną, racyonalną odpowiedź:

Tworzenie nowych pokoleń, aczkolwiek związane z instyktem, jest sprawą ogólną, społeczną. Społeczeństwo jest obowiązane dbać o normalne przedłużanie swego istnienia. Zabezpieczenie matki w chwili jej niezdolności do pracy, oraz zabezpieczenie dziecka aż do chwili, gdy się stanie zdolnym do pracy człowiekiem, jest obowiązkiem społecznym, tak samo zresztą, jak zabezpieczenie wszystkich istot słabych, do pracy niezdolnych. W ostatnim wypadku nakazuje to uczucie humanitarne, w pierwszym zaś dobrze zrozumiany interes „społeczny. Przeniesienie na społeczeństwo obowiązku utrzymania dziecka oraz kobiety w okresie jej niezdolności do pracy, oprócz wyswobodzenia kobiety z ekonomicznej zależności od mężczyzny ma jeszcze i tę stronę dodatnią, że zabezpiecza każdemu dziecku odpowiedni rozwój jego władz niezależnie od stanu majątkowego, energii lub dobrej woli jego rodziców. Dziecko bowiem nie powinno pokutować za to, że los mu takich a nie innych rodziców prze-

[2]) Krapotkin „zdobycie chleba".

---

dwiema polskiemi paniami, które zwróciły się do mojej żony z prośbą stanięcia u nich.

Wysiadanie z parostatku nie zabrało dużo czasu; inaczej rzecz się miała z barżą. Nastąpiło wywoływanie. Jakiś oficer, już niemłody, pytał każdego o nazwisko, przyczem Polaków zapytywał: skąd pan? — Jeden odpowiedział: z Lublina. — Ja tam byłem, bardzo miłe miasto. — Ten oficer wogóle starał się być jak najgrzeczniejszym, szczególniej dla pań, co wyglądało komicznie przy jego figurze. Prócz Rudomina przedstawił mi się jeszcze Leon Samarin. Za moich czasów był on studentem w uniwersytecie petersburskim; zrazu w 61 r. otaczała go atmosfera nieufności; poczem całkiem niespodzianie dowiedzieliśmy się w początkach 63 r., że został aresztowany w Wilnie i osądzony w „sołdaty" za chęć pójścia do partyi. Służył właśnie w batalionie, stojącym w Tomsku.

Nakoniec ruszyliśmy w drogę; z przystani do więzienia było parę wiorst; ale czas był tak piękny, że przechadzka mogła sprawić tylko przyjemność. Rudomino towarzyszył mi. Pierwszą i ważną nowiną, jakiej dowiedziałem się od niego, była wiadomość o bajkalskiem powstaniu. Wrażenie dla wszystkich było przygnębiające, gdyż w następstwie należało oczekiwać wzmożenia się surowości względem wszystkich zesłańców.

Zawiadomił mnie Rudomino, że już zapewnił mnie jak można najwygodniejszą lokatę w więzieniu. W istocie, kiedyśmy przyszli, dozorca zaraz mnie i jeszcze paru oddzielił od innych, których wyprawił do właściwego więzienia. Nas umieścił osobno. Swoje niewielkie stosunkowo mieszkanie rozbił na maleńkie celki, które oddawał rekomendowanym mu zesłańcom politycznym za umiarkowane wynagrodzenie, nawet nieoznaczone, ale ile kto dał wyjeżdżając. Jak tylko urządziłem się, zaproponował mi Rudomino pójść z nim razem do Bułhaków, gdzie stanęła moja żona. Czyż możem?—zapytałem. Nawet w Tobolsku nie tolerowano takich wolności i tylko rzadko, za specyalnem pozwoleniem Despot-Zenowicza można było wychodzić na bazar za sprawunkami. — Można, mówiłem już o tem z dozorcą.—Ależ mnie straż nie puści; nie, ja chcę usłyszeć sam, że wolno, od dozorcy. Rudomino sprowadził go, a on powiedział mi, że mogę iść do miasta. Potem nie pytałem już nigdy i chodziłem, kiedy mi się podobało,—zazwyczaj rano a wracałem wieczorem. Straż puszczała swobodnie wszystkich z mieszkania dozorcy. Po jakimś czasie pytam znowu dozorcę: proszę, powiedz mi pan zupełnie szczerze, czy moje wychodzenie do miasta nie sprawia panu jakich kłopotów? ja bym nie chciał wyzyskiwać uprzejmości pańskiej. Chodź pan—lakonicznie odpowiedział mi nadzorca. Wszyscy inni lokatorzy jego tak samo swobodnie bywali w mieście.

Partyę wysłali po upływie dwóch dni; ale z nas, jadących do Krasnojarska na własny koszt, złożyła się cała kompania; podaliśmy w tym celu przedstawienie i byliśmy zatrzymani; zapomniano nawet o nas, bo dopiero po wielokrotnych przypomnieniach w policyi i natarczywych prośbach, po upływie dni dziesięciu mogliśmy wyjechać.

Codziennie widywałem się z Rudomino; on miał środki i nieźle urządził się w Tomsku. Piękny mężczyzna, dobrze wychowany, bywał wszędzie i nawet stał się modnym; zapraszano na wieczory „z Rudomino". Znał on przeto wszystko i wszystkich w mieście—tak zesłańców polskich, jak i stosunki miejscowe wogóle. W Tomsku przebywało wielu Polaków tu zesłanych a między nimi i nielegalni, którzy uciekli z katorgi lub z miejsc zesłania.

Administracya miejscowa, jakkolwiek wiele wiedzieć musiała, nie przedsiebrała żadnych kroków. A naczelnik żandarmów, Tic, tak się zachowywał: najął on dom z dużym ogrodem i dla tego ogrodu. W sąsiednim domu tego samego właściciela zamieszkał Bułhak, u którego od rana do wieczora przesiadywali i legalni i nielegalni Polacy. Tic przestał wychodzić do ogrodu, ażeby nie spotkać się z nimi i nie wywołać awantury.

(C. d. n.)

znaczył i ma prawo żądać całkowitego rozwoju od społeczeństwa, którego członkiem po dojściu do samodzielności się staje.

Reasumując tedy wszystko powyższe i przyjąwszy założenie, że każdy człowiek, zarówno kobieta, jak mężczyzna jednako są do pracy obowiązani, kobiety powinny domagać się:

1) Ekonomicznej niezależności i usamodzielnienia kobiety przez odpowiedni paragraf kodeksu,

2) Odpowiedniego wykształcenia zarówno ogólnego, jak i zawodowego,

3) Otwarcia dla kobiet wszystkich odpowiednich jej uzdolnieniom zawodów (przyczem decydować ma kobieta sama)

4) Równej płacy z mężczyzną za równą z nim pracę,

5) Zabezpieczenia przez społeczeństwo kobiecie w chwili jej niezdolności do pracy oraz dziecku aż do chwili, gdy się stanie zdolnym do pracy człowiekiem—odpowiedniego utrzymania.

K. Bujwidowa.

Z powodu artykułu: * * „Czas obudzić się".

(Dokończenie.)

Ci nawróceni asymilatorzy są przeważnie takimi samymi chrześcianami, jak byli żydami; są to właściwie bezwyznaniowcy, a jeśli wykonywają jakieś praktyki religijne, to jest to najczęściej komedyą i hypokryzyą. Wszelako ogół żydowski nie rozróżnia tego i widzi w nich tylko tych, którzy opuścili wiarę ojców, ażeby z czasem powiększyć liczbę ich prześladowców. Przeważnej liczbie asymilatorów brak wszelkiego ideału; ci z nich, którzy porzucili wiarę żydowską, najczęściej uczynili to dla większej wygody w życiu, w chęci uwolnienia się od tego wstrętnego żydostwa, które zakłócało im spokój i narażało na różne nieprzyjemności. Patryotyzm, bardzo reklamowany i wynoszony na targowisko publiczne, doprowadzają asymilatorzy często do śmieszności i mimowoli czynią go nieraz podejrzanym. Ażeby tylko nie posądzono ich o separatyzm i choćby najdalszą wspólność z żydami, opluwają tych ostatnich daleko dosadniej, niż najzagorzalsi antisemici. Wszelkie współczucie a tembardziej materyalne poparcie żydów innych krajów uważają za separatyzm i postępek niepatryotyczny. Właściwie zaś jest to tylko zwykłe sobkostwo. Asymilacya, dążąca do prawdziwego uspołecznienia żydów, nie zaś do wycofania się od nich, która nie twierdziłaby gołosłownie, że żydzi dla cywilizacyi i kultury nic nie zrobili, w czci dla Biblii nie widziałaby głównej przeszkody do uspołecznienia żydów,—tak pojęta asymilacya miałaby u nas wszelkie widoki powodzenia. Dowodu dostarcza nam czwarty dziesiątek zeszłego wieku. Ale asymilacya, dążąca bezpośrednio lub pośrednio do zagłady żydów jako wyznawców odmiennej religii, chybia celu i stanowi jedną z najważniejszych przeszkód uobywatelenia żydów. Nie nacyonalizm sprowadził bankructwo asymilatorów, lecz ich własne postępowanie, ich tchórzostwo, krótkowidztwo, brak poświęcenia i brak odwagi cywilnej. Na szczęście młodsze pokolenie żydów w znacznej części inaczej pojmuje zadania i granice asymilacyi, i to z czasem stanowczo wyjdzie na korzyść kraju i samych żydów.

Usunięcie w znacznej mierze dzieci żydowskich od szkół publicznych, wyższych i niższych i udostępnienie ich tylko pewnym faworytom losu, a także zabronienie nauki języka polskiego w uczelniach (chederach) żydowskich i ochronach, wywołane warunkami, od społeczeństwa niezależnymi, przyniosło również zgubne następstwa. Młodzież żydowska została pozbawioną możności poznania kultury nieżydowskiej w całej jej rozciągłości, oddalała się pomimo woli od świata chrześciańskiego i musiała zamknąć się sama w sobie. Najpłodniejszy okres asymilacyjny był właśnie ten, gdy młodzież żydowska mogła swobodnie stykać się z chrześciańską, wzajemnie się poznawać, pielęgnować jednakowe ideały, gdy między niemi istniały ciepłe i serdeczne stosunki koleżeńskie i przyjacielskie, które do pewnego stopnia przetrwały po dziś dzień. Ten okres czasu, t. j. szóstego dziesiątka lat, wydał też z pośród żydów niejednego dobrego Polaka i obywatela. Dopuszczenie żydów do oświaty, do szkół, gdzieby ich uczono kochać kraj, gdzieby poznali, jak względem niego spełniać należy swoje obowiązki; niesadzanie uczenic lub uczniów żydów w oddzielnych ławkach, nieokazywanie umysłowi ich wrażliwemu, jak wogóle u dzieci, na każdym kroku niechęci, a nawet wzgardy, zaszczepianie wzajemnej ufności i szacunku, dowiodłyby należytego zrozumienia interesów krajowych, a skutki dodatnie takiego postępowania niedługo dałyby na siebie czekać.

Pierwiastek napływowy, party do nas ze wschodu, przebywszy niezliczone i do głębi duszy wstrząsające męczarnie, gnany i dręczony, bez jutra, szukał punktu oparcia w utopiach, aby nie być całkiem zniesionym, z łatwością przylgnął do idei syonistycznych i nacyonalistycznych i te pierwiastki niepożądane zasiał na naszej glebie. Chwila do rozdmuchania fałszywych, utopijnych i nieziszczalnych haseł okazała się bardzo odpowiednia wobec tego, przez co u nas przechodzili i przechodzą żydzi. Lud żydowski, doznając ciągłych upokorzeń i prześladowań, odepchnięty od wszystkich pól działalności społecznej, zaledwie tolerowany, opuszczony i poniewierany nawet przez tych, którzy wyszli z jego krwi, a którym szczęśliwszy zbieg okoliczności pozwolił choć w części wyzwolić się z tego ogólnego ucisku materyalnego i duchowego, dbając o zachowanie swojej wiary, którą wobec wzmagającego się niedowiarstwa uważał za zagrożoną, uległ w pewnej mierze podszeptom niezdrowym, dla kraju niepożądanym i dla samych żydów wielce szkodliwym.

Ci utopiści, chcąc z żydów gwałtem zrobić naród i nie mając do tego żadnych podstaw realnych, na poczekaniu wynaleźli dla nich język narodowy t. j. żargon, który ma być jedyną, wybitną cechą żydów jako narodu. Tymczasem w rzeczywistości żydów prócz wspólnego wyznania i wspólnej niedoli w pewnych krajach nic z sobą nie łączy.

Konserwatyzm i fanatyzm żydowski widzi we wszystkich reformach najbardziej świeckiego charakteru zamach na religię — i eo ipso na samych żydów. Do spotęgowania zacofania, do tak błędnego pojęcia o kulturze i oświacie przyczynili się pośrednio asymilatorzy przez swoje doktryny i ośmieszanie lub lekceważenie wszystkiego tego, co dla człowieka wierzącego jest drogiem i świętem. Nie ulega wątpliwości, że masa żydowska w przeważającej swej części, dotąd przynajmniej, okazuje się oporną na hasła postępu i cywilizacyi, że skutkiem wiekowej swej inercyi jest głucha na wszystko, co według jej pojęcia nie ma związku z religią. Masa ta, uganiająca się za chlebem codziennym, lub zajęta studyami nieprodukcyjnemi i niepraktycznemi, obojętną jest zupełnie lub niewiele zajmuje się losami kraju, ale żeby miała być wrogo dla niego usposobioną — jest oszczerstwem.

W ostatnich czasach całkiem niepotrzebnie poruszono i do niebywałych rozmiarów rozdmuchano kwestyę żargonu. Tak nieżydzi, jak i żydzi, którym leżało na sercu dobro kraju i oświata jego mieszkańców, ubolewali nad tem, że żydzi, żyjąc tu od wieków, nie przyswoili sobie języka krajowego a posiłkowali się obcą, od Niemców przyniesioną gwarą. Że to rozdęcie kwestyi żargonowej jest agitacyą chwilową i sztuczną, na dnie której tkwi prawdopodobnie interes osobisty, nietrudno odgadnąć. Najwłaściwszem byłoby publicznie kwestyi tej wcale nie poruszać. Milczenie prawdopodobnie najskuteczniejby ją pogrzebało. Obrona autonomicznych dążeń pewnych warstw żydowskich, oraz żargonu z ust polskich jest błędem, który może pociągnąć za sobą niepożądane następstwa i zachęcić agitatorów do coraz nowych żądań i do uważania swej sprawy za słuszną. Przedsiębranie środków radykalnych i energicznych przeciw żargonowi wogóle a nacyonalizmowi żydowskiemu w szczególności jest zbytecznem, przeciwnie w myśl zasady wolności i demokratyzacyi zostawić należy każdemu możność i swobodę mówienia „jak mu dziób urósł", nie trzeba nawet przeszkadzać żargonowcom w zakładaniu szkół własnych; ale dążenia takie nie powinny znaleźć oddźwięku wśród nieżydów i żydów, dbałych o dobro kraju i jego przyszłość. Jeżeli panowie ci chcą, mogą mieć swoje szkoły, ale nie mogą i nie mają prawa żądać poparcia ogółu. Dzięki Bogu nie jest jeszcze tak źle z językiem polskim, ażeby miał się lękać konkurencyi żargonu. Jest jeszcze wprawdzie bardzo wielu żydów, posługujących się żargonem, ale niewielu jest takich, którzyby języka polskiego nie rozumieli, jako tako nim nie władali i byli mu niechętni. Od posyłania dzieci żydowskich do szkół polskich powstrzymuje nie język polski, lecz obawa rozluźnienia i przestąpienia pewnych przepisów religijnych, jak np.: pisania w sobotę. Żydzi, głusi na wszelki postęp, nie poślą swych dzieci nawet do szkół żargonowych z programem przeważnie świeckim. Żargonowcy pomimo swego zapału, godnego lepszej sprawy, po za papierowe projekty nie pójdą, gdyż nie mają ani siły, ani środków do wytworzenia szkół z wykładem w żargonie.

Ludność żydowska, gdy będzie mogła swobodnie uczęszczać do szkoły polskiej, nie zechce korzystać ze szczęśliwości szkół żargonowych.

Ci, którzy bronią żargonu jako środka, mającego pośrednio prowadzić do ukulturowania żydów, nie doceniają znajomości języka polskiego wśród żydów tutejszych. Nawet element napływowy, który tak gardłuje za żargonem, zaczyna choć powoli zapoznawać się z językiem polskim

Znając chęć i dążenia żydów do nauki wogóle, wydaje się prawie nieprawdopodobną wzmianka p. Niemojewskiego (Nowa Gazeta 23/VI wyd. por.), że w szóstym dziesiątku lat żydzi nie chcieli się zgodzić na zaprowadzenie nauki obowiązkowej razem ze wszystkimi obywatelami kraju.

Żądanie jakiejś autonomii dla żydów jest wprost nonsensem. Komu tutejsze warunki nie odpowiadają, komu tu niewygodnie, dla tego świat stoi otworem; tu, w kraju pod żadnym pozorem nie może być tolerowanym naród w narodzie. Mogą pewni utopiści marzyć o odbudowie królestwa żydowskiego, mogą nawet pod tym względem czynić zabiegi, ale coś podobnego mogłoby tylko urzeczywistnić się na ziemi, która była niegdyś żydowską, zaś nigdy tu, na ziemi polskiej; na coś podobnego najbardziej kulturalny, najbardziej

radykalny naród nie zgodziłby się pod żadnymi warunkami. Żydzi nie stanowią w krajach, które zamieszkują, mniejszości jakiegoś fikcyjnego narodu, łubo wielu wmawiało to w siebie, lecz są częścią składową danego narodu o wyznaniu odmiennem. Dr Wizel nadaje przesadzone znaczenie nacyonalizmowi żydowskiemu; ten sztuczny produkt prędzej, czy później zniknie, podobnie jak chylący się do upadku syonizm; jest on głośny, nic dziwnego, nacyonaliści wszystkich krajów robię wiele hałasu; to zdaje się jest najgłówniejszym, jeśli nie jedynym ich atutem.

Ażeby kwestya żydowska przyjęła znowu pożądany kierunek, potrzeba pewnej życzliwości i współdziałania społeczeństwa nieżydowskiego, szerzenia wśród żydów oświaty przez jak najrozleglejsze przyjmowanie żydowskich dzieci do szkół polskich, zajęcie się sprawą żydowską wykształconych warstw żydowskich, lecz nie podług metody dotychczasowej. Nie uspołeczni się żydów przez urządzanie wieców i konferencyj, ale trzeba, podobnie jak to czynią nacyonaliści, pójść do ludu z zapałem i sercem gorącem. Że żydzi mają obowiązek być dobrymi obywatelami kraju, o tem nie może być dwóch zdań; czy oni będą nimi w całej rozciągłości i w całej masie swojej, to przeważnie zależy od społeczeństwa. Żydzi, jako naród na ziemi polskiej, nie mają żadnej racyi bytu, a ci, co o tem marzą i robią w tym kierunku zabiegi, są na fałszywej drodze i prędzej, czy później doznać muszą rozczarowania. Żydzi, jako wyznanie, jako wyobrażenie pewnej idei, stanowią całość systemu, która zagładzie uledz nie powinna i nie ulegnie, pomimo wielowiekowych do tego dążeń u nas, wśród nas i gdzieindziej. Wszelkie dążenia do uspołecznienia żydów przez środki, zmierzające do zniszczenia ich wyznania, dostarczą społeczeństwu w najlepszym razie pewnej liczby neofitów, lecz uspołecznienia ogółu żydowskiego nie osiągną. Jeśli kiedyś czynnik wyznaniowy przestanie być brany w rachubę w życiu narodów i ludzkość tak wysoko stanie na polu kultury i cywilizacyi, że wszelkie systemy religijne okażą się zbytecznymi, wtedy i kult żydowski sam przez się zginie. Do tego czasu jednak, chcąc z żydów mieć dobrych obywateli, nie trzeba dotykać najczulszej ich strony, t. j. ich wiary.

Dr. Teodor Heiman.

Listy z Francyi.

Represye sądowe i krwawe na południu Francyi.

Po całym szeregu wieców masowych, powtarzających się w ciągu 14-u niedziel i zadziwiających swą wspaniałością, uroczystym nastrojem i nigdy niezamąconym ładem, winogrodnicy południowej Francyi, niedoczekawszy się od parlamentu prawa, któreby wpłynąć mogło na ulżenie ich ciężkiej doli, — z dniem 11 czerwca przeszli od słów do czynów a mianowicie ogłosili, że zaprzestają płacenia podatków oraz zawieszają czynności rad miejskich i gminnych. Postanowienie to wiadomem było od dawna, a zwłaszcza po wiecu w Béziers w d. 12 maja, kiedy stało się ono hasłem popularnem całej rzeszy manifestantów.

Pomimo tej groźby rząd nie stawiał przeszkód agitacyi, a parlament nie spieszył się wcale z wywalczeniem środków zaradzenia istotnej klęsce, dotykającej cztery departamenty. Co dziwniejsze jeszcze, przedstawiciele owej części kraju, zasiadający w Izbie i Senacie, nie poczuwali się do obowiązku porzucenia stolicy i udania się do swych okręgów wyborczych, ażeby tam, na miejscu zbadać potrzeby ludności i módz skutecznie wystąpić w jej obronie.

Dziś mówią na swe usprawiedliwienie, że ich wyborcy nie zapraszali, niejako o nich całkiem zapomnieli.

Tak było istotnie, a nawet wyraźnie komitety lokalne zastrzegły, że do składu ich nie mają wchodzić deputowani i senatorzy, udział ich bowiem nadałby ruchowi barwę polityczną, której nie pragną, ze względu na pożądaną jedność i zgodę.

Oczywiście, niktby ich nie wygnał, gdyby zjawili się wpośród wyborców w skromnej roli współobywateli kraju, a nie kierowników. Tłomaczenie się ich przeto jest niewystarczające i nie dziw, że gdy nareszcie po krwawych dniach represyj zdecydowali się pojechać, doznali wszędzie zasłużonego przyjęcia—chłodnego, wzgardliwego a gdzieniegdzie nawet wprost wrogiego.

Winogrodnicy rozpoczęli swą akcyę, ożywieni jak najszczerszem przywiązaniem do Republiki i jak najgłębszą wiarą, że rząd i parlament przyjdą im z pomocą, byleby się dowiedzieli o ich nędzy, byleby zwrócili na nich swą uwagę. A dopiero doznany zawód zbudził w tej ludności gniew i nieufność. Daremne są wysiłki pewnej części prasy, starającej się przedstawić cały ruch winogrodników nie jako naturalny wynik spodziewanego od lat siedmiu kryzysu winnego, lecz jako machinacyę monarchistów, pragnących upadku formy republikańskiej. Insynuacye te są całkiem bezpodstawne, opierają się bowiem jedynie na tem, że na listach składkowych obok skromnych darów figurowały i większe, pochodzące od miejscowej arystokracyi, oraz że w Montpellier, gdy na ostatni wiec ściągnąć miała półmilionowa masa, biskup miejscowy wydał rozporządzenie, aby całą noc kościoły były otwarte i służyć mogły za schronienie dla niezamożnych a strudzonych przybyszów. Natomiast faktem jest niezaprzeczonym, że ruch ten opiera się na realnej podstawie ekonomicznej i niema nic wspólnego z jakimkolwiek kierunkiem politycznym; cechą jego wyraźną jest bezklasowość, łączyli się w nim bowiem wszyscy, bez względu na różnice stanowiska społecznego i fortuny, począwszy od robotników rolnych, kończąc na przedstawicielach wielkiej własności. Zresztą nawet sam prezes komisyi parlamentarnej wysadzonej dla opracowania prawa przeciw fałszerzom wina, Cazeaux-Cazalet twierdzi, że niema żadnej przesady w skargach południowców, ceny bowiem ziemi spadły o 30% do 60%, ilość bankructw wzrasta z każdym rokiem, a cena wina nie pokrywa kosztów jego produkcyi.

Senator Gouthier obrachował, że koszt jednej beczki wina sfabrykowanego w Paryżu wynosi conajmniej 22 fr., zaś beczka wina czystego z południa Francyi, wyekspedyowana do Paryża, kosztuje średnio 20 fr., nie licząc samego wina. Jeśli więc wino naturalne ma konkurować ze sztucznem, to powinno kosztować 2 fr. za beczkę z 225 litrów. Ponieważ zaś winogrodnicy sprzedają je po 16 do 20 fr., przeto na rynku paryskim z trudem może ono współzawodniczyć.

Marceli Albert jest typowym przedstawicielem tych drobnych posiadaczy winnic i niewątpliwie zawdzięczał swą nadzwyczajną popularność nie jakimś zdolnościom specyalnym, a jedynie temu, że doskonale pojmował i odczuwał potrzeby i ducha swych współobywateli. Nie był to naczelnik, kierownik ruchu, lecz jego symbol, sztandar, czego najlepszym dowodem, że dziś, gdy siedzi za kratą więzienną, podobnie jak wszyscy członkowie komitetu przezeń utworzonego w gminie Argelliers — powstał natychmiast komitet Nr. 2, działający w tym samym duchu a skoro ten zniknie, w pogotowiu jest komitet Nr. 3.

Parlament, czując całą swą bezsilność na polu prawodawczem — dawne prawa nie dają się stosować w praktyce z braku dostatecznej ilości urzędników oraz środków kontroli, nowe zaś — istotnie uniemożliwiające fałszowanie wina przejść nie mogą, gdyż napotykają opór ze strony interesowanych,—chwycił się jedynej dla siebie drogi wyjścia z kłopotliwej sytuacyi,— zadecydował represye.

Postanowione i w ślad za tem przedsięwzięte przez Clémenceau kroki, a mianowicie skierowanie na południe wojska w ilości aż 20,000, wywołało oburzenie w całym kraju. Jakiemiż słowy jednak opisać wrażenie winogrodników!

Całą noc z 19 na 20 czerwca w Narbonne i w Argelliers mieszkańcy nie kładli się na spoczynek w oczekiwaniu przybycia wojska. Przywiązani do swego mera narbończycy wznieśli mocne barykady, aby nie dopuścić do aresztowania D-ra Ferroula.

Kobiety chodziły, wołając „Do broni" i pobudzając swych mężów i braci do czujności. D r Ferroul dwukrotnie musiał surowo zabraniać stawiania barykad, a nawet sam brać udział w ich rozbieraniu, aby zrozumiano, że obrona taka jest bezcelową a zwiększającą niepomiernie odpowiedzialność sądową.

Wreszcie nadeszła wieść o zbliżaniu się wojsk, dzwony miejskie uderzyły na alarm, a z wiosek sąsiednich odpowiedziały im inne dzwony, tworząc śród ciszy nocnej jakiś chór tragiczny.

Ludność powitała wojsko okrzykami: „Niech żyje armia! Precz z Clémenceau! Precz z Picquart'em! Kolby w górę!" Wojsko zajęło pozycyę na wszystkich ulicach, otaczających ratusz i dom D-ra Ferroul'a, ale mieszkańcy ze swych stanowisk się nie ruszyli. Wreszcie o g. 1-ej w nocy generał, dowodzący, dał rozkaz wysadzenia bocznych drzwi ratuszowych, i wojsko zajęło gmach miejski; wkrótce potem odbyło się aresztowanie Ferroul'a, który po raz ostatni jeszcze z okna swego domu nawoływał do spokojnego rozejścia się, poczem w otoczeniu 80-u żandarmów i całego szwadronu dragonów opuścił Narbonne, owacyjnie żegnany przez tłum. Ledwie jednak powóz jego przejechał kilka ulic, gdy sypać się zaczęły pociski na wojsko, oficerowie zakomenderowali szarżę — orszak z trudem przedostał się do miejsca, skąd specyalny pociąg uwiózł tego strasznego więźnia do Montpellier.

W tejże porze rozgrywała się podobna scena w Argelliers, z tą jednak różnicą, że tam aresztowano tylko trzech członków komitetu, trzej bowiem inni oraz Albert skryli się chwilowo.

Narbonne od rana manifestowała swą żałobę po ukochanym merze zamknięciem sklepów i warsztatów; wzburzenie jednak ludności było zbyt głębokie i silne, aby na tem się wszystko skończyło. Paryż choć oddalony czuł doskonale, że obecność wojsk musi wywołać zamieszki i rozlew krwi, to też gorączkowo chwytano świeże wydania gazet i oczekiwano wypadków w nadzwyczajnem podnieceniu.

W istocie też wypadki nie dały na siebie czekać, dni 19 i 20 czerwca przeszły krwawo w Montpellier, Perpignan, Narbonne i Nimes.

Nienawiść tłumu skierowaną była wszędzie do żandarmów, policyantów i prefektów departamentalnych, pastwiono się głównie nad sześciu agentami tajnej policyi, wysłanymi z Paryża specyalnie dla ułatwienia zadania miejscowym szpiclom

oraz niszczono gmachy prefektów.

Wszystkie komitety lokalne słały do Clémenceau protest przeciw obecności wojsk i represyom, domagając się uwolnienia aresztowanych.

Pismo „Le Tocsin", organ komitetu argellierskiego, rozchodzące się w 30,000 egz. pojawiło się w żałobnej obwódce z napisem: „Ofiarom represyi!" nawoływało jednak, jak zawsze do spokoju: „Dość gwałtów i walk bratobójczych! Chowajmy nasze urazy na dnie serca; zjednoczmy się wszyscy dokoła naszego sztandaru gotowi do czynu".

Oburzenie ludności przeniknęło, jak się tego można było spodziewać, i do wojska miejscowego: w pułku 17-ym miał miejsce bunt 400 żołnierzy, którzy nie chcąc być tranzlokowani, opuścili koszary a następnie, zabrawszy z prochowni 15,000 nabojów, wrócili do swego miasta Beziers i rozłożyli się obozem na ulicach.

Wysyłani przez władzę wojskową oficerowie nie potrafili ich nakłonić do poddania się dyscyplinie, dopiero komitet argellierski użył swego wpływu, aby wrócili do koszar. Wprawdzie obiecano im, że nie będą indywidualnie karani... nie minęły jednak trzy dni, gdy wbrew tej urzędowej obietnicy, okręt uwoził wszystkich 400 do Afryki...

Iza Zielińska.

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Krew i wódka.

Rewolwer w dalszym ciągu rozstrzyga wszelkie, nieraz bardzo drobne spory. Zgaszenie świecy, zabicie muchy nie wymaga dziś większego namysłu i skrupułu, niż zastrzelenie człowieka. Zwłaszcza z Łodzi telefon przynosi codziennie wiązkę morderstw z dodatkiem: „na tle partyjnem". Wobec kilkakrotnych odezw robotniczych, potępiających „walki bratobójcze", nie rozumiemy tych komentarzy. Wogóle stoimy wobec potwornego zjawiska, na którem spoczywa mrok zagadki: widzimy zakrwawioną arenę, widzimy jakieś tajemnicze postacie, walczące z kanibalską dzikością, ale kto one są, za co się mszczą, co się dzieje za kulisami sceny — nie wiemy. Domyślamy się tylko, że jest to straszny rezultat rozkiełzania złych instynktów. Czy zadowoleni są z niego ci, którzy zdjęli wędzidła? Do krwawej kąpieli coraz obficiej dolewana jest wódka. Według urzędowego wykazu w łódzkim okręgu przez 5 miesięcy wypili jej o 434,568 rb. więcej, niż w tym okresie roku zeszłego. A myśmy myśleli, że niewola sięgnęła już do dna naszej niedoli. Byliśmy przekonani, że nie ma na świecie nieszczęśliwszego od nas narodu, ale nigdy nie przypuszczaliśmy, że nasze nieszczęście może być jeszcze większem. Co nam pomoże swoboda, jeśli wejdziemy do niej zdziczeli?

Zlot czarnych sokołów.

Nie spodziewaliśmy się, że zmarnujemy kropkę atramentu i farby drukarskiej dla „Zjazdu pisarzów i dziennikarzów katolickich". Nie dlatego bynajmniej, ażebyśmy z zasady odmawiali znaczenia narodom ludzi religijnych, ale dlatego, że znaliśmy umysłową i moralną wartość kapelmistrzów i grajków tej orkiestry, którzy ją zebrali i zasiedli przy głównych instrumentach. Mogli oni przedstawiać materyał jedynie dla pism humorystycznych, psychiatrycznych, no i—najdelikatniej mówiąc—prawnych. Ale zaszedł na tym zlocie czarnych sokołów wypadek, który zasługuje na wzmiankę: między nimi znalazł się jeden biały, a był nim ni mniej ni więcej tylko arcybiskup lwowski Teodorowicz. Co on powiedział, to naturalnie brzmiało o kilka oktaw niżej najwstrzemięźliwego liberalizmu, ale śród krakania stada rozlegało się, jak śpiew skowronka. Szanowny infułat bowiem nie złorzeczył i nie wyklinał bezbożników, nie wzywał do palenia ich na stosie, lecz nawoływał do miłości i tolerancyi a nadewszystko do wydobycia się ze skostniałych form fanatyzmu i zgody z duchem czasu. Przed księciem kościoła „musiano schylić głowy", ale jak pocichu przeciw niemu pomrukiwano, widać z gorzkich półsłowek czarnych bojowców częstochowskiej komendy.

Przemówienie arcyb. Teodorowicza zapewne wpłynęło na uchwały zjazdu, ale nie starło w nich tu i owdzie ostrego kantu. Zalecono „pisarzom i dziennikarzom katolickim", ażeby byli patryotami i nie przeciwstawiali się dążeniom narodowym, ale wyrażono żądanie, ażeby wydawnictwa ludowe ulegały „najsurowszej krytyce" (wyż. cenzurze). Macierz polska, którą „czcigodni kapłani" już ujęli za kosę i chcieli opanować, odetchnęła, że zjazd nie nakazał jej być księżą gospodynią. Miejmy jednak nadzieję, że ona prędzej, czy później będzie musiała albo przyjąć te zaszczytne obowiązki, albo dźwigać brzemię klątwy.

Towarzystwo rolnicze.

Pod koniec ubiegłego miesiąca odbyło się w Warszawie zebranie centralnego Towarzystwa rolniczego, na którem przemawiał nowy prezes, ks. Czetwertyński. W rozwoju życia naszego społecznego, ekonomicznego i kulturalnego wśród wielu innych objawów fakt to bezwąpienia ważny, nie najważniejszy chyby jednak. Kraj nasz nie jest wyłącznie rolniczy a szlachta i ziemianie nie są klasą pierwszego i panującego znaczenia. Czują to dobrze oni sami, jak świadczą pełne skromności słowa prezesa, zapowiadające tkliwą opiekę dla tych, „którzy dotychczas pomocy zupełnie pozbawieni byli, co bardzo rady pragną, tak chętnie do wspólnej pracy się garną a najliczniejsi są i najpracowitsi".

Pytanie tylko, czy gdyby ci najliczniejsi i najpracowitsi założyli podobne stowarzyszenie i zjechali się na narady, prasa nasza, zawsze taktowna w okazywaniu swych uczuć i tak niezwykle dojrzała w swych zapatrywaniach, poświęciłaby im tyleż uwagi i miejsca, co dla zjazdu pańskiego. W ciągu ostatniego roku powstało u nas wiele instytucyj doniosłego znaczenia kulturalnego, oświatowego i społecznego, o których narodzeniu się i programie pisma codzienne i peryodyczne przemilczały lub zaledwie mimochodem zlekka wspomnieć raczyły; ale narady ziemian traktuje się co najmniej jak posiedzenia parlamentu, zapominając, że dopóki ci „najliczniejsi i najpracowitsi" nie zostaną tam rzeczywistymi gospodarzami, nie zaś łaskawie cierpianymi intruzami, z którymiżyje się „na polityce", żadne najpiękniejsze efekty kunsztu oratorskiego nie wypłoszą obawy o niepewność obietnicy, że „polityki agrarnej na wzór naszych sąsiadów zachodnich prowadzić nie będziemy", że towarzystwo istotnie pragnie i dążyć będzie niezłomnie do „sprawiedliwego podziału pracy, sprawiedliwej płacy za trud, sprawiedliwego stosunku tych, którzy dają, do tych, którzy biorą." Do osiągnienia tego bowiem idzie się przez znój i trud, przez niemałe ofiary, a tego wszystkiego panowie nasi „niezwyczajni" i to więcej kosztuje niż piękna mowa na zebraniu i wspaniała obietnica, za której niedotrzymanie nikt nam komornika nie przyśle.

ps.

Popis w szkole ludowej, w Galicyi.

Sala dość obszerna i widna. Na ścianach wypłowiałe oleodruki, wyobrażające portrety członków dynastyi Habsburskiej, z cesarzem na czele. U jednej ze ścian podwyższenie, na niem stół i fotel prezydyalny, po nad tem duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przystrojony girlandami z kwiatów i zielenią, jak również cała katedra. Na fotelu pod obrazem zasiada ks. prałat, duchowny dygnitarz miejscowy, przybrany w oznaki swej godności. Na stole leżą nagrody w postaci książek do nabożeństwa w przeważnej ilości, reszta składa się z powiastek treści patryotycznej, odnoszących się wyłącznie do przeszłości. Po obu stronach katedry siedzi publiczność „paradna", a za nią stoją zwykli śmiertelnicy: rodzice, włościanie lub inni przedstawiciele „podlejszego stanu". Na ogół wśród widzów jednej i drugiej kategoryi przeważają kobiety.

Wchodzi pierwszy oddział wychowanków szkoły: dziewczęta i chłopcy, zajmując miejsca w ławkach. Rozlega się komenda nauczyciela: „Wstać! Baczność!" Poczem nauczyciel składa pobożnie ręce, co czynią wszyscy obecni, i intonuje pieśń nabożną wraz z dziećmi ją odśpiewując; dalej dzieci odmawiają pacierz. Znów komenda: „Siadać!" Wysuwa się przed ławki ksiądz katecheta, dość zemocyonowany, co się w wyrazie twarzy i ruchach uwydatnia, i zaduje pytania uczniom z katechizmu i Historyi Świętej. Różne uczucia miotują trzeźwym człowiekiem przy słuchaniu tego egzaminu: to na śmiech, to na płacz się zbiera.

—Królówna, pyta ksiądz, co się otworzyło, gdy Św. Jan chrzcił Pana Jezusa?

Otworzyło się, otwo...rzy...ło... *Ksiądz.* Nie... *Uczenica.* Niebo. — Dobrze. Sobczak! A co się pokazało? *Uczeń,* recytując.—Pokazał się Duch Świety.

—Kopka! W jakiej postaci ukazał się Duch Święty? *Uczeń.* W postaci gołębicy.

—Kiźlówna! Czy możesz być zbawioną bez łaski poświęcającej? *Uczenica* z determinacyą: „Mogę być zbawioną". Tu otrzymuje szturchańca w bok od swej sąsiadki, przerażonej taką herezyą, i widzi zmarszczone oblicze ks. katechety, więc się poprawia i dodaje: „Nie, nie mogę być zbawioną".

Przy zadawaniu pytań ks. katecheta, zwraca się od czasu do czasu postawą i wzrokiem ku ks. prałatowi, oczekując znaku zaprzestania egzaminu i czerpiąc otuchę do dalszych wysiłków z wyrazu twarzy dostojnika.

Następują deklamacye na jeden i ten sam temat w różnej formie: że losy nasze są w ręku Boga, że Bóg na nas ciągle i wszędzie patrzy i dlatego powinniśmy wystrzegać się złych czynów, że bez woli i łaski Boga człowiek nic dobrego zdziałać nie może i t. p.

Koniec popisu z katechizmu i deklamacyi. Ks. prałat rozdaje nagrody, pytając każde z dzieci: „Masz książeczkę do modlenia"—„Mam"—odpowiada dziecko pożądliwie spoglądając na wabiącą, barwną okładką książkę treści świeckiej.—„No, to dostaniesz teraz większą" lub „to dasz swemu bratu albo siostrze" — Niewielu szczęśliwcom przypada w udziale książka kolorowa, najczęściej wracają od katedry z modlitewnikiem w czarnej, posępnej oprawie.

I znów słychać: — „Wstać! baczność!" znów śpiew nabożny, znów modlitwa, w końcu nauka moralna ks. prałata, najbanalniejsza w świecie, i wyjście dzieci z klasy.

Wchodzi następny oddział i ta sama scena się powtarza, urozmaicona opowiadaniem z Historyi św. jak to Izraelici, będąc w niewoli egipskiej, tak się mnożyli, że aż Faraon kazał zabijać dzieci pierworodne; jakim sposobem Mojżesz tego losu uniknął i t. d.

Wśród pieni religijnych odzywa się i: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei", ale tylko wybrane dwie strofy, gdzie załatwienie sprawy narodowej wkłada się na Boga... „Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi" i „Tam w górę, tam w górę, oj spoglądaj na Boga..." Słowem, aż się widzowie duszą w tej chwale Boskiej. O wiadomościach z jakiej dziedziny wiedzy mowy niema.

Po skończonej tragi-komedyi nauczyciele i nauczycielki, wiedząc, że jestem obca, zapytują, jakie wrażenie wyniosłam. Odpowiadam z całą szczerością:—„A takie, że żywcem ze swymi uczniami pójdziecie do nieba, bo do życia na ziemi nie jesteście zdolni."

Szkoła opisana znajduje się w miejscowości, jednej z najbardziej uczęszczanych tak przez inteligencyę miejscową, jako też z innych dzielnic Polski.

Przypatrzmy się bacznie temu obrazkowi, bo i u nas będzie tak samo, jeśli się niedopilnujemy. *J.*

NOTATKI NAUKOWE.

NOWE KSIĄŻKI.

Gabryel Seailles. **„Demokracya i oświata"** przełożył Konrad Drzewiecki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1906.

Sympatyczną książkę p. Seailles owiewa duch wysokiej kultury i miłości dobra publicznego. Przewiduje on nadejście fazy kulturalnej, zaznaczającej się familiaryzacyą klas i stanów dzisiejszych, których różnice i odległości z konieczności będą musiały zaginąć. Instytucye, które dziś są społecznemi z nazwy tylko, istotnie się uspołecznią. Wykłady, zawarte w książce, zmierzają do podniesienia kultury duchowej proletaryatu miejskiego we Francyi, obok tego są one opologią aksiomatów demokratyzmu, wyłożenych z wielką prostotą i jasnością, gdyż aksiomaty te wynikają ze zdrowego rozsądku i z konieczności historycznych. Przy tej sposobności p. Seailles nie szczędzi wytwornych i sarkastycznych zwrotów pod adresem współczesnej pseudokultury, rozmaitych t. z. „trzeźwych" umysłów, rozmaitych ojców ludzkości, którzy nawet Boga poufale wprowadzają do szynkowni swoich interesownych zabiegów, ażeby im pomógł, pod pretextem ratowania świata od niechybnej jakoby zguby, przemycać ich osobiste interesy. Książkę p. Seailles powinna czytać nasza inteligencya, przejąć się i uzdrowić jej myślami. Dla obdzielenia niemi naszego ludu miejskiego i wiejskiego musżą myśli p. Seailles'a uledz przeróbce stylopej, w tej bowiem szacie wytwornej, lecz skomwlikowanej dla ludu naszego byłyby niedostępne.

Prof. dr. L. Kny. **„Wrażliwość w państwie roślinnem.** Warszawa. Nakład Księgarni Naukowej. 1907 rok.

Broszurka powyższa daje czytelnikom dobór faktów, będących przyczynkiem do zbadania wrażliwości wogóle w świecie organicznym, o ile wrażliwość roślin rzuca światło na tę sprawę. Wrażliwość roślin należy do zjawisk, które zacierają granicę między światem roślinnym a zwierzęcym. Ponieważ z rośliną można obchodzić się więcej bezceremonialnie bez pozbawienia jej życia, niż ze zwierzęciem, przeto badanie wrażliwości roślin budzi niemały interes naukowy. Zewnętrzne przejawy wrażliwości roślin są tego rodzaju, że robią wrażenie zmyślności i inteligencyi, to też staroświeccy przyrodnicy, omawiając tego rodzaju zjawisko, nie umieli uniknąć terminu „zmyślność" lub „moralność" roślin. Szczegółowsze poznanie wrażliwości roślin daje możność stwierdzenia, że bodźce, na które roślina okazuje się wrażliwą, są te same, na jakie i ustrój zwierzęcy jest wrażliwym, następnie budowa mikroskopowa wrażliwych części rośliny, ich naczynia i tkanki, biorące udział w procesie wrażliwości, są tego rodzaju, że upoważniają do mechanistycznego tłomaczenia zjawiska wrażliwości. Niezasobność literatury przyrodniczej w języku polskim nakazuje powitać z uznaniem powyższą małą, lecz treściwą broszurkę.

Dr. Konrad Guenther. **Zagadnienia życia w świetle darwinizmu"** spolszczyli Adam Kudelski i Kazimierz Kulwieć. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. 1906 r.

W książce powyższej autor zestawia szereg nienowych przeważnie, lecz zajmujących faktów z życia zwierząt i usiłuje je wszystkie tłomaczyć prawem doboru naturalnego. Przegląd swój robi gromadami, tak, jak je systematyka zoologiczna ustaliła. Zrzadka potrąca autor o szczegóły anatomicznej budowy zwierząt, dając im wyjaśnienie również ze stanowiska doboru naturalnego. Z treści książki przebija dość jednostronne stanowisko naukowe autora, znane pod terminem „neodarwinizmu", polegające na przecenianiu zasad doboru naturalnego, jako zasady tłomaczącej powstawanie dziś poznanych form zwierzęcych a niedocenianie zasad ustalonych w tym celu przez Lamarcque'a. Neolamarkiści odpłacają się pięknem za nadobne i, przeceniając zasady Lamarcque'a, niedoceniają darwinistycznych zasad doboru naturalnego. Nie bacząc na ten małoważny szczegół, należy radośnie powitać spolszczenie powyższej książki, obznajmia ona bowiem z zajmującymi faktami i tem przyczyni się do rozszerzenia zainteresowania się naukami przyrodniczemi.

Dr. Henryk Gomperz. **Krytyka hedonizmu.** przełożył z upoważnienia autora Antoni Krasnowolski. Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Warszawa. Skład główny w Księgarni Fiszera. 1900

Autor umiejętniej krytykuje, niż uzasadnia swe twierdzenia. Natworzywszy sobie dzięki przesadnej niby analizie, pojęć konwencyonalnych, nikogo nieobowiązujących, po za któremi nie stoją żadne fakty realne, autor skazał siebie na przelewanie z pustego w próżno, do czego jeszcze i jałowość samego tematu się przyczynia. Skacząc po fikcyach myśli logicznie snutej, autorowi mimowoli udaje się natknąć na racyonalne twierdzenia. Do rzędu takich np. należy następujące: że rozkosz i cierpienie są pobudkami wszelkich czynności, że decydowanie woli jest w służbie zachowania osobnikowi gatunku i w służbie rozwoju. Na dobro autora należy zapisać i to, że zwalcza on sprzeczność, jaka ma niby istnieć między psychologią a etyką.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Marion: **Życie**, powieść, str. 470. *Zofia Rygier-Nałkowska:* **Książe**, powieść, str. 298. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i S ka. 1907.

Potężna fala ruchu politycznego i społecznego, bijąca—nietylko u nas — w bastiony i reduty dawnych form życia, nie mogła pozostać bez wpływu na współczesną naszą twórczość literacką. Na syntezę rewolucyi, na odtworzenie jej wszechstronne w dziele sztuki nie czas coprawda—jeszcze. Próby udowodnienia przeciwnego, przedsiebrane przez paru poetów, między którymi byli i ludzie o nazwiskach głośnych, że wymienię chociażby Tetmajera, stwierdziły raz jeszcze słuszność poglądu Schillera, że co ma ożyć w pieśni, powinno zginąć, a przynajmniej — zakończyć się w rzeczywistości. Niemniej jednak, malując w utworach beletrystycznych życie współczesne, niepodobna już niemal pominąć tego, co stanowi dzisiaj jeden z zasadniczych akordów w sonacie patetycznej teraźniejszości. To też różne epizody rozgrywającej się przed oczyma naszemi walki o jutro, lepsi jej bohaterowie i męczennicy zdobywają u nas coraz wydatniejsze miejsce w piśmiennictwie współczesnem, torując sobie drogę zarówno do dramatu i liryki, jak zwłaszcza do literatury powieściowej.

Najwybitniejsza, jak dotąd, rzecz w tej dziedzinie, „Jaskółka" Gustawa Daniłowskiego, nie ukazała się jeszcze w postaci książkowej. W tem, co wychodzi, zarówno po dziennikach i tygodnikach, jak w tomach osobnych, razi—z nielicznymi wyjątkami—słaba znajomość odtwarzanych stosunków. Autorowie i autorki stoją daleko dosyć od pędzącego z szumem i hukiem górskiego potoku dni naszych. Dochodzi ich echo jego fal, druzgocących po drodze przeszkody, ale nieliczni z nich tylko skąpać się zdołali w ich elektryzującym, pienistym nurcie, więc też to, co czytamy w powieściach o pewnych, nie dla wszystkich dostępnych stronach życia, bywa najczęściej bądź bardzo ogólnikowe i blade, bądź przejaskrawione a nieprawdziwe, przypominając znane z lat dziecinnych bajki o żelaznym wilku.

Typową pod tym względem jest powieść „Życie". Autor, prędzej autorka, ukrywająca się pod pseudonimem Mariona, ma niewątpliwie talent, niekiedy nawet polot poetycki. Początek jej utworu z opisem mgły, roztaczającej się nad wielkiem miastem, z silnem zaznaczeniem kontrastów między rzeczywistością a ideą, zdaje się zapowiadać rzecz piękną. Oddzielne ustępy są rzeczywiście ładne i ciekawe, ale całość chaotyczna i jakby zamazana, a przytem po kobiecemu rozwlekła. Ani jeden charakter nie został przeprowadzony konsekwentnie od początku do końca, wszystkie, nakreślone w sposób szkicowy, sylwetkowy, wyginają się i łamią co chwila, gotując czytelnikowi dziesiątki niespodzianek, usprawiedliwionych jedynie — kaprysem autorki. W każdej niemal kartce utworu odczuć się daje sympatyczne skądinąd fermentowanie młodej i wrażliwej, lecz niezrównoważonej i pod wieloma względami za mało doświadczonej duszy, pragnącej zbyt dużo powiedzieć odrazu, a przez to przerzucającej się w coraz to nowe dziedziny, znane naogół dosyć powierzchownie. Z materyału, nagromadzonego w „Życiu", możnaby stworzyć ze trzy po

wieści, lecz z drugiej strony z tego, co mamy, należałoby usunąć część sporą.

Najlepszy stosunkowo, choć niejednokrotnie grzeszący przesadą, przechodzącą chwilami w karykaturalność, jest obraz kolonii artystyczno-studenckiej w Paryżu, gdzie poznajemy umierającą z głodu studentkę medycyny, Adelę, świetną artystkę, godną i piękną księżniczkę z bajki... Loreley, Inę Rońską, przywódcę radykalnej lub bawiącej się w radykalizm młodzieży—Bolesława Szerskiego, różne Marynie, Hele, „łagodnego anarchistę" i innych bohaterów powieści, przeniesionych następnie na bruk warszawski. Ładnie pisane i zajmujące, choć w niektórych szczegółach, dotyczących zwłaszcza małżeństwa z Józefem Symplicyuszem, zgoła nieprawdopodobne, są jeszcze wspomnienia Inki z lat dziecinnych i pobytu na pensyi. Od chwili jednak przeniesienia akcyi do Warszawy autorka traci wyraźnie grunt pod nogami, każe popełniać bohaterce głównej jedną niekonsekwencyę za drugą, powracać do męża i uciekać od niego, oddawać uściski miłosne kochanym i niekochanym mężczyznom, aby ją doprowadzić w końcu do całkiem melodramatycznego końca i wstrętnej wprost tyrady przedśmiertnej Adama, która zresztą nie wypływa również wcale z jego charakteru, o ile ze strzępków różnobarwnych, rozsianych przez p. Mariona, charaktery stworzonych postaci odbudować wogóle można.

Gdybyż przynajmniej autorka nie chciała malować przytem rzeczy, które zna tylko ze słyszenia, gdyby działaczom społecznie kazała biedz, „jak na skrzydłach" do mieszkania, w którem świeżo dokonano aresztowania, otrzymywać tam paczek, jeździć z niemi „bezwiednie" do teatru i na maskarady, aby je oddawać ludziom, którzy z tem wszystkiem nic już nie mają wspólnego! Ta strona powieści nie udała się autorce stanowczo: działacze prawdziwi inaczej trochę wyglądają w tem życiu, którego „ogromna fala grzmi przed nami", niż w „Życiu", które nam ona maluje. I nietylko to zresztą. Smutne świadectwo wydaje n. p. autorka lekarzom-kobietom, każącawszy dzielnej i energicznej niby Adeli, sprowadzonej przez przyjaciółkę na czas porodu, uciekać w chwili krytycznej na górę i zakopać się w podnszki, byle tylko nie słyszeć krzyków i jęków chorej... wogóle ujemną stronę powieści Mariona, wbrew tytułowi, stanowi właśnie nieznajomość życia prawdziwego, co jest jednak wadą, z której się z czasem wyrasta... Ale wyrosnąć trzeba, aby nie powiększyć zastępu patetycznych deklamatorek o wszykiem, bez bliższej znajomości — niczego, których już mamy zadużo.

Z niczego już dziś nie ma potrzeby „wyrastać" autorka „Księcia", p. Zofia Rygier-Nałkowska. Bez prób i powolnego pokonywania trudności, tak zwykłego nawet u talentów pierwszorzędnych, wyrosła niemal odrazu na powieściopisarkę oryginalną, na artystkę dużej miary, torując sobie drogę własną, po której kroczy śmiało—na wyżyny. Z pewnego rodzaju pozy, przybieranej niekiedy w „Kobietach",—tak sobie, od niechcenia, *pour epater les bourgeois*,—nic już prawie nie zostało w nowej powieści. Cień może jakiś na paru pierwszych kartkach, w pragnieniu n. p. pięknej i stylowej pani Ali, by „linia, przeprowadzona przez jej życie, była równie wytworna, jak linia jej bioder". Lecz i to życzenie wypowiada bohaterka „Księcia" na początku drogi rozwojowej, przez którą ją przeprowadza autorka, odsłaniając stopniowo, z niezwykłą dyskrecyą, i miarą artystyczną, coraz głębsze pokłady jej duszy, az do potężnego obrazu cierpień nadludzkich z powodu okropnej śmierci ukochanego człowieka, w rozdziałach ostatnich, których niepodobna czytać bez głębokiego wruszenia.

Gdy *Prawda* drukowała dopiero na swych szpaltach pierwszą część „Kobiet" („Lodowe pola"), autor „Współczesnej literatury polskiej„ Wilhelm Feldman podkreślał odbicie w pierwszym utworze młodziutkiej wówczas powieściopisarki nowych formacyj psychicznych duszy kobiecej. „Świat to psychiczny — mówi on— istotnie różny od męzkiego, odsłonięty ze szczerością, godną umysłu poważnego i wysoce uświadomionego,—świat prawdziwie nowoczesny, o zimnej głowie i gorącem sercu, o wyrafinowanych nerwach i kapryśnej woli, świat pełen sprzeczności, sobie i mężczyznom zagadka niebezpieczna, wobec którego Marya Baszkircew—owo „odkrycie duszy kobiecej dla Europy"—jest niemowlęciem". Słowa powyższe, z zastrzeżeniami pewnemi, zastosowaćby można i do dalszych kroków w rozwoju twórczości p. Zofii Rygier-Nałkowskiej, których wyrazem jest „Książę". Utwór ten stanowi niejako uzupełnienie powieści poprzedniej. I nietylko dlatego, że zapoznajemy się tu między innemi i z dalszymi losami głównej bohaterki „Kobiet", owej pięknej, wykwintnej i uczonej Janki Dernowiczówny, lecz co ważniejsze—że autorka wzbogaca galeryę swoją postaciami nowemi, rozszerzając pole swych obserwacyi nad duszą ludzką wogóle a kobiecą w szczególności, przez wprowadzenie ludzi, oddanych walce społecznej. Nad utworem całym unosi się przytem smutek, ten smutek melancholijny, lecz nie beznadziejny, o którym słyszymy w jednej z z pośmiertnych pieśni Beniowskiego: „Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej, że coraz wyżej w krainy błękitu prowadzi". I podobnie jak w „Kobietach", rzecz wywiera niejednokrotnie wrażenie ogromnie szczerej, bezpośrednio z duszy płynącej spowiedzi.

Główną postacią „Księcia", w której imieniu prowadzi autorka opowiadanie, jest młoda, zamożna i ładna mężatka, żyjąca zresztą w separacyi z mężem. Jest to z początku tylko osoba światowa i elegancka, dba przedewszystkiem o pozory i gra zręcznie komedyę życia, starając się zawsze utrzymać „w stylu". „Książę"—to pseudonim partyjny dzielnego, bohaterskiego „towarzysza", wysuniętego w drugiej połowie utworu na plan pierwszy, dzięki miłości, którą rozbudził w pięknej pani Ali, przekształconej już tymczasem stopniowo z ładnej lalki salonowej w myślącego i czującego człowieka. Dzieje tej przemiany duchowej stanowią właśnie główną treść powieści, a umiejętność i subtelność, z jakiemi odmalowała autorka poszczególne etapy na tej drodze, nadają jej utworowi wartość trwalszą, wyróżniając go bardzo wyraźnie na tle beletrystyki współczesnej.

Trzy światy duszy ludzkiej zarysowują się w „Księciu". Jeden ma reprezentantkę w Dernowiczównie, obecnie profesorowej Obojańskiej. Przemijające miłostki i hołdy, praca naukowa, komfort i wygody życia, sława, perspektywa wielkości — nie mogą zagłuszyć w niej tęsknoty za szczęściem wymarzonem, jedynem, a gdy ono zbliża się wreszcie do jej rąk w postaci ukochanego szalenie człowieka, zabrakło sił, by je po nie wyciągnąć. Z obawy przed rozczarowaniami nowemi, z obawy, by rzeczywistość nie okazała się marnym cieniem snu wymarzonego, cudnego snu życia, ucieka przed nią nazawsze, wyniósłszy z doświadczeń zdobytych pewnik jeden, że trzeba umieć—umierać w porę... „sen jest świętością. Nie wolno oddawać go—nawet za ziszczenie".

Kategoryę drugą reprezentują Julka i Teresa wśród kobiet, towarzysz Bury, Jan i paru innych wśród mężczyzn. Typy prostolinijne, niezłożone, umiejące kochać gorąco i gorącej jeszcze nienawidzieć, oddane całkowicie ukochanej nad życie Idei i gotowe w każdej chwili poświęcić dla niej wszystko, bez zastrzeżeń i wyjątków. Pani Ali przypominają oni coś ze średniowiecza, z epoki ekstaz fanatycznych i religijnych prześladowań, i wrażenie to zachowała wtedy nawet, gdy do grona ich weszła sama. Najkrańcowszym wyrazem ich dążeń i ich duszy zbiorowej są w „Księciu" słowa, wypowiedziane do bohaterki utworu przez poranionego ciężko towarzysza, którego doglądać przyszła: „Nie tkliwości potrzeba tu, lecz twardości, buntu, nienawiści. Idźcie do fabryk, na przedmieścia, gdzie każdy kamień bruku krwią jest polany, gdzie w zaułkach, w najstraszniejszych norach cuchnie nędza, zbrodnia, rozpacz. Poznajcie takie życie, popatrzcie oko w oko tej krzywdzie, a dotychczasowe formy waszego życia wydadzą wam się potworne, dzikie, godne zatraty. Powinniście znienawidzić radość, piękno, przepych. Urągowiskiem powinien wam się wydać blask dnia i święto wiosny"...

Do takiej jednak nienawiści bezwzględnej nie jest zdolna ani Ala, ani nawet „Książe", przywódca moralny całego grona działaczy, ukochany nad wszystko Jerzy, któremu bohaterka powieści zawdzięczała w życiu chwilę największego szczęścia i najgłębszej, najczarniejszej rozpaczy. „Artystka życia", wyrósłszy nawet ze ślicznej lalki na oddaną sprawie działaczkę, pod pewnymi względami pozostaje sobą do końca. I cieszy się, gdy w ubóstwianym Jerzym odgadywać zaczyna duszę pokrewną, gdy z ust jego słyszy wyraźnie, że czaruje go przedewszystkiem *piękność* tej walki nieśmiertelnej o dobro. Dla nich nawet dążenia społeczne proletaryatu są zawsze—„świadomą lub nieświadomą tęsknotą do wyższych form cierpienia", jeżeli życia bez cierpień wyobrazić sobie nie sposób. Oni nienawidzić bezwzględnie nie potrafią nawet tej przeszłości, z którą walczyć muszą, bo » w tym świecie, który do mogiły już schodzi, nęci, ich i pociąga to, co w nim jednak jest piękne.

Nietrudno domyśleć się, że ta właśnie kategorya ludzi posiadła w zupełności i sympatyę autorki, która "uczucia ich, dążenia i czyny opromienić umiała czarem prawdziwej poezyi. Może nawet skrzywdziła przytem nieco literata estetę Zenowicza, który pisze wprawdzie ładne listy, lecz zanadto już trochę upartym się wydaje w swem przywiązaniu do „czystego" piękna i zbyt ślepym na piękno inne, które z czynów się rodzi. Chociaż zaprzeczyć się nie da, że są między nami i tacy...

Wł. Bukowiński.

W odpowiedzi na artykuł „Myśli Niepodległej"

p. t. „Przeciw metodzie emigrantów".

Pomimo najszczerszych chęci nieodpowiadania na artykuł p. Niemojewskiego p. t. „Przeciw metodzie emigrantów", napisany w Nr. 30 „Myśli Niepodległej" w sposób wyzywający w celu ośmieszenia i zdyskredytowania jak paryskiej sekcyi Polskiej Ligi Wolnej Myśli, tak też wogóle polskich wolnomyślicieli, mieszkających obecnie zagranicą, a niezgadzających się zasadniczo z jego ciasnem i wstecznem pojmowaniem kwestyi żydowskiej, z jego zapatrywaniami na nielegalne nasze stronnictwa i t. d.—w imię prawdy muszę zaznaczyć:

1-o. Całkiem mylnem jest, jakoby Polacy, mieszkający czy to chwilowo, czy to stale zagranicą (a jak ich nazywa p. Niemojewski, emigranci), „chcieli zbawiać Polskę z zagranicy, zwłaszcza z Paryża". Ich zachowanie się podczas ostatnich 2-ch lat kłam zadaje twierdzeniom p. N. Słali oni do kraju zapracowany grosz na rzecz walczącego u nas proletaryatu, starali się rozbudzić sympatyę dla sprawy polsko-rosyjskiej wśród cudzoziemców, ułatwiali wyjazd rwącym się do kraju — ale nie wydawali żadnych odezw, rezolucyj, manifestów, powściągali się nawet od urządzania wieców politycznych.

Nie przeszkadzało to im jednak i nie przeszkadza mieć umysł krytyczny, mieć własny zdrowy sąd o rzeczach, krzewić myśl wolną czynem, słowem i pismem jak w kraju tak i zagranicą.

2-o. Nieprawdą jest, że wolnomyślni Polacy pozostali w Paryżu, „chcą tylko zrobić coś dla honoru Polski, chcą nas wystawić zagranicą, pragną pokazać w Peszcie i naturalnie w najkorzystniejszem świetle Polską Wolną Myśl". Wyraźnie bowiem pisaliśmy i w odezwie paryskiej sekcyi, i w artykule do „Prawdy", i w listach prywatnych do redaktora „Niepodległej Myśli", że idzie nam nie o pokazanie się na międzynarodowym kongresie wolnomyślnym, nie o przedstawienie swej działalności, ale o większe uświadomienie naszych polskich wolnomyślicieli, o zbratanie się z Wolną Myślą zachodu i o urządzenie wspólnej polskiej konferencyi z programem zgóry obmyślanym, „gdyż — jak już pisaliśmy w „Prawdzie"—wielka, głęboka, z natury rzeczy rewolucyjna myśl wolna maleje dziś u nas, paczeje, zwęża swe tory, przestaje być groźną dla naszej reakcyi, ale zato jest ponętną dla naszych świeżo kreowanych proroków, wcale dobrym interesem dla naszych wierzących spekulantów".

Szło nam zatem zawsze o realną robotę, a nie o czczą deklamacyę, nie o zaimponowanie światu jakim pompatycznym referatem na kongresie albo swą działalnością.

3-o Faktem jest, że dzięki polskim wolnomyślicielom, zamieszkałym chwilowo, czy też stale zagranicą, po raz pierwszy w 1905 r. zebrała się na międzynarodowym kongresie Wolnej Myśli garstka Polaków z kraju i zagranicy i utworzyła polską sekcyę, że zagranicą—w Paryżu—w ich gronie powstała myśl założenia poważnego wolnomyślnego pisma w kraju, że tu materyały doń czerpano i że również z ich grona L. Kozłowski podjął się napisania szczerze wolnomyślnej, popularnej broszury p. t. „Po co człowiek żyje", a tak lekkomyślnie skrytykowanej przez redakcyę „Niepodległej Myśli".

4-o. Faktem też jest, że po pierwszych kilku numerach „Myśli Niepodległej" poznaliśmy, iż jest ona organem p. Niemojewskiego a nie—jak spodziewaliśmy się—organem komitetu redakcyjnego, złożonego z wolnomyślicieli, zamieszkałych w Warszawie,—przekonaliśmy się, że nie o takiej „Wolnej Myśli" marzyliśmy, że do innej dążyliśmy.

5-o. Dziwnem więc jest ze strony pana Niemojewskiego dawać nam rady powrotu do kraju i zaprzężenia się pod jego jarzmo, pod jego komendę.

Dr. Józef Zieliński.

Paryż d. 26 czerwca 1907 r.

P. s. Ponieważ odpowiedź niniejsza wywołaną jest nie teoretyczną dyskusyą lecz osobistemi wycieczkami „Myśli Niepodległej", —uważamy ją przeto za ostateczną.

KRONIKA.

Sprawy polityczne i społeczne. Partya socyalistów rewolucyonistów rosyjskich nie jest jeszcze zdecydowana co do swego stanowiska wobec wyborów do trzeciej Dumy. Ostateczną w tym względzie decyzyę wyda rada partyjna. Przypuszczają, że znaczna część członków rady będzie za wzięciem udziału w wyborach.

— Starszy prezes izby sądowej wileńskiej zwrócił uwagę sekretarzom i pomocnikom, że udzielanie publiczności objaśnień w języku polskiem nie przystoi urzędnikowi rosyjskiemu.

— Dn. 24 czerwca odbyło się w Łodzi zebranie 200 delegatów robotników fabrycznych, którzy, potępiwszy terror ekonomiczny jako środek walki pracy z kapitałem, zaznaczyli jednocześnie, że jest on podobnie jak walki skrytobójcze i lockauty, objawem ogólnej reakcyi w naszym kraju; jest bezpośrednim skutkiem bezprawnego położenia, w jakim klasa robotnicza się znajduje, nie mając możności przeciwstawić zorganizowanemu kapitałowi równie silnych organizacyj robotniczych.

— Muzułmanie postanowili wstrzymać się od wyborów, ponieważ nowe prawo odebrało im możność przeprowadzenia własnego posła do Dumy.

— *Towariszcz* informuje, że ukraińska frakcya parlamentarna postanowiła przystąpić do wyborów w przymierzu z Polakami i żydami.

— Minister wojny, wprowadzając zasadę bezpartyjności armii kazał ogłosić naczelnikom okręgów wojskowych, że nie jest dozwolone wyrażanie sympatyi przez przesyłanie telegramów powitalnych, publiczne wypowiadanie pochwał, choćby nawet partyom prawicy.

— Obradujący w Moskwie zjazd ziemski na telegram, wysłany do cesarza z wyrażeniem uczuć wiernopoddańczych, otrzymał dziękczynną odpowiedź.

— Odpowiednie wydziały rządowe Królestwa Polskiego były poprzednio zarzucane podaniami cudzoziemców o przyjęcie poddaństwa rosyjskiego; w samej Warszawie i gub. Warszawskiej starających się było do 4000. Od lat 3 liczba podań zaczęła się zmniejszać, a obecnie są one rzadkością.

— Delegaci robotników fabryki Poznańskiego przyspieszyli swój powrót z Berlina na żądanie swych mocodawców. Utrzymują oni, że zarząd nie zamierza zamknąć fabryki, jest zadowolony z rezolucyi, potępiającej terror, i cofnie postanowienie zamknięcia fabryki, gdy związek fabrykantów na to się zgodzi.

— Zjazd ziemski w Moskwie uznał za pożądane obniżenie cenzusu rolnego i majątkowego.

— Członek Rady Państwa, Szwanebach, na własne żądanie otrzymał dymisyę ze stanowiska kontrolera państwa.

— *Now. Wremia* donosi, że nowa instrukcya o wyborach zniesie zakaz wydawania list wyborczych tylko przez stronnictwa zalegalizowane. Wszelkie zatem listy wyborcze, zarówno ze stemplem urzędowym jak i bez stempli, mają być uznane za ważne.

— Na obradach ziemców w Moskwie większością wszystkich głosów przeciw 2 przyjęto wniosek, ażeby kobietom, które posiadają cenzus majątkowy, nadać czynne prawo wyborcze, które one przelewałyby na bliskich krewnych.

— Odbył się sąd koleżeński, złożony z kilkunastu adwokatów warszawskich, w sprawie pp. Lemańskiego, Waydla i Kronenblecha-Krońskiego przeciw p. Stanisławowi Kijeńskiemu. Trzej wymienieni panowie oskarżali o świadome dozwolenie na ogłoszenie w *Gońcu* fałszywej wieści o nadużycia w komisyi wyborczej, której oni byli członkami w celu skompromitowania ich jako ludzi innej partyi. Sąd powyższy uznał postępowanie p. adwokata Kijeńskiego za *wysoce niewłaściwe.*

Zaburzenia i zamachy. Pod Chęcinami w gub Kieleckiej wykryto skład broni, zakopany w ogrodzie: 350 brauningów, 180 mauserów i 2000 nabojów Aresztowano właścicielkę ogrodu Zofię Biernat.

— Departament celny zawiadomił tutejsze komory, iż w celu wzmocnienia nadzoru nad przewozem broni, ministeryum uznało za konieczne 21-wiorstowy pas działalności straży granicznej wdłuż granicy lądowej zachodniej rozszerzyć do 50 wiorst.

— Kilka pism codziennych podało fałszywą wiadomość, że warszawski komitet cenzury zaczął czynić trudności wydawnictwom t. z. jednodniówek, objaśniając, że otrzymał polecenie władzy wyższej, ażeby na podstawie przepisów o stanie wojennym nie wydawać pozwolenia na takie wydawnictwa. Pisma te zostały skazane na karę pieniężną.

— W Windawie odkryto komitet rewolucyjny, skład broni, pieczęć komitetu, kasę i literaturę nielegalną. 15 osób aresztowano.

— W Tyflisie, w śródmieściu, wobec ogromnego natłoku publiczności, na dwa powozy, którymi urzędnicy banku państwa wieźli z poczty, jak twierdzą 341,000 rb., rzucono jedną po drugiej ośm bomb, które wybuchły z ogromną siłą. W zamieszaniu znikły worki z pieniędzmi. Zabitych jest wielu i ze straży i pośród publiczności. Na ogromnym obszarze potłuczone wszystkie szyby, wybite drzwi, zburzono kominy.

— W Łodzi dn. 28 czerwca w dwóch stronach miasta wynikła strzelanina na tle partyjnem. I tu i tam byli zabici i ranni.

— W Sewastopu zburzono przez wybuch maszyny piekielnej zewnętrzną ścianę więzienną i 20 więźniów politycznych zdołało zbiedz; śmiertelnie raniony został wartownik, stojący od strony podwórza.

— Dn. 29 czerwca na ulicy Żórawiej w pobliżu domu Nr. 7 zabito agenta „ochrany", wskutek czego następnie aresztowano wiele osób i dokonano rewizyj w sąsiednich domach.

— Aresztanta kryminalnego, który z okna lazaretu więziennego rzucał chlebem w żołnierza, stojącego na posterunku a następnie pogroził kułakiem, tenże żołnierz wystrzałem zabił na miejscu.

Aresztowania i kary. Codziennie odbywają się w Warszawie i w całym kraju masowe rewizye, aresztowania, wysyłania i wydalania z granic Królestwa Polskiego. Niepodobna wszystkich faktów i nazwisk notować, przyszłoby zapełniać nimi całe szpalty. W jednem mieszkaniu, do którego policya weszła w celu dokonania rewizyi, zamieszkujący je malarz, Stanisław Wyczałkowski, wskoczył na okno i z 4 piętra rzucił się na bruk, zabijając się na miejscu.

— Do gub. tobolskiej zesłano w ostatnich 4 miesiącach, według obliczeń *Frajnda*, 451 przestępców politycznych. Z tych było Polaków 53, żydów 61, Rosyan 223, Łotyszów 74 i t. d. Wśród Polaków było najwięcej P. P. S., śród żydów S. D., śród Rosyan S. R. Ogółem było S. D. 146, S. R. 101, P. P. S. 26, anarchistow komunistów 24, z Proletaryatu 2, soc.-syon. 1, narodowiec 1 i bezpart. 116. Wedle wieku dzielą się na: niżej 16 — 2, od 16 do 20 — 86, od 21 do 25 — 183, od 26 do 30 — 80, od 31 do 40 — 42, od 41 do 50 — 17, od 51 do 60 — 5, starszych 6.

— Sprawa o zabójstwo Ułanowskiego w Banku handlowym sądzona była w wydziale karnym sądu okręgowego. Wszystkich obwinionych uniewinniono.

— *War. Dn.* donosi, że dn. 26 czerwca aresztowano 20 członków pol. part. socyal demokratycznej, którzy się zebrali na narady. Miano znaleźć przy nich ważne papiery.

— W Łodzi generał gubernator wojenny wydał rozporządzenie wysłania do Cesarstwa 44 latarników gazowych, którzy zastrajkowali. Wskutek tego latarnicy powrócili do pracy.

— W redakcyi *Nowej Gazety* dokonano rewizyi, zabierając wszystkie rękopisy. — Tej samej nocy odbyła się rewizya w mieszkaniu p. Anny Leliwa-Kopystyńskiej.

— Kolporter Antoni Gąsiorowski skazany został na karę śmierci za zamach bezkrwawy na agentów „ochrany" w chwili, gdy ci przechodzili ulicą.

Bandytyzm. W Płońskiem w tartaku Kasmona,

w gminie Wychodź, w obecności robotników 3-ch ludzi zamordowało kasyera.

— Napadnięto furmana żydowskiego, poraniono go ciężko nożem, jak mówią dlatego, że nie chciał przyjąć pomocnika. Z tego samego powodu otruto mu 6 koni.

— W Elizawetgradzie robotnik, wydalony z zakładów mechanicznych Joskulskiego, chciał zabić dyrektora inżyniera Chrzanowskiego. Przeszkodził mu policyant.

— Napady, skrytobójstwa, mordy w dzień biały dla rabunku i bez rabunku powtarzają się codziennie po wielokroć; chcąc wszystkie notować możnaby prowadzić osobne pismo, poświęcone wyłącznie kronikowaniu zbrodni. Podajemy tylko te, które zawierają cechy charakterystyczne.

— Sześciu włościan ze wsi Zapotocze Bychowskiego, uzbrojonych w widły, topory i kije, rzuciło się na sprawnika, strażników i włościan ze wsi Oleniko, gdy ci zaczęli naprawiać groble. Wyobrazili oni sobie, że naprawa grobli da tamtym prawo własności młyna, należącego do zapotoczan. Sprawnik został pobity, strażnicy poranieni, zabity został jeden z włościan, trzej ciężko ranieni, są również ranieni lekko.

Strajki i lock'outy. Zastrajkowali robotnicy w fabryce Bendera w Warszawie.

— Fabrykę Hirszberga i Wilczyńskiego w Łodzi postanowiono zamknąć wobec ponawiającego się strajku w oddziałach ślusarni i prządzalni.

Sprawy szkolne i oświatowe. Ministeryum oświaty opracowuje przepisy, zezwalające na otwieranie średnich zakładów naukowych w składzie 4 wyższych klas.

Literatura i sztuka. We Lwowie zawiązało się towarzystwo wzajemnej pomocy literatów i artystów polskich.

Prasa. Na cały czas trwania stanu wojennego zawieszono wydawnictwa *Zorza warszawska* i *Promień ojczysty*.

— W ciągu 10 dni, od daty ogłoszenia nowego obowiązującego postanowienia prasowego do d. 24 b. m., zastosowano — wedle obliczeń *Birż. Wied.*,— względem prasy następujące represye: Zamknięto 8 wydawnictw; pociągnięto do odpowiedzialności sądowej 7 redaktorów; uwięziono: 3 redaktorów i 1 wydawcę; nałożono kary pieniężne na 12 gazet (ogólna suma 16,500 rb.); skonfiskowano numery w czterech wypadkach.

Wiadomości ekonomiczne. Z rozporządzenia najwyższego minister skarbu w celu dokonywania wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych w r. 1907, a w tej liczbie wydatków na pomoc żywnościową dla ludności, nawiedzonej przez głód, ma wypuścić 4% rentę państwową w nominalnej sumie 50 milionów rb., na zasadach, wyłuszczonych w ukazie najwyższym z dn. 21 kwietnia 1894 r. oraz przepisach, jakie zostały następnie wydane.

Zmarli. Hr. Heyden, b. poseł do Dumy, członek stronnictwa pokojowego odrodzenia Rosyi, charakter szlachetny i czysty, Polakom życzliwy.

OFIARY.

Na dom ludowy Tow. Kul. pol. Pisarzewski z Łęczycy rb. 3.
Na szkoły ludowe Tow. Kul. Pol. Strzembosz z Będzina rb. 5.
Do rozporządzenia Aleksandra Świętochowskiego bracia Jabłkowscy rb. 10.
Dla biednych dzieci Strzembosz z Będzina rb. 5.
Dla najbiedniejszych, pozbawionych pracy za pośrednictwem J. Henisza z Zaporoże Kamienskoje, uzyskane z loteryi rb. 10, X. kop. 50. Bezimiennie kop. 50.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.